

OPIEKUN DOMOWY

PISMO DLA RODZIN.

№ 28. Warszawa, dnia 3 (15) Lipca 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

PRZYCZYNY ZŁEGO.

I.

Szlachetczyzna.

Przyczyny złego! Od czego i jak zacząć? Gdybyśmy chcieli dopatrywać ich w różnych warstwach narodu, przeglądając koleją wszystkie stany, należałoby zacząć prawem naturalnego pierwszeństwa od rolników.

— W tak ciężkim czasie? Człowieku zastanów się! Gdybyś był nawet nieomylną powagą, któż cię słuchać będzie, odzywa się głos refleksyi. Miałże byś ty sumienie znojną pracę naszą zatruwać nam tylekroć już razy powtarzanemi komunałami?

Tu brak robotnika, tu żniwiarka się psuje, tu upał pot wyciska z czoła, a ty chcesz nam prawić kazanie o niezaradności. Przy świętej niedzieli człowiek odpoczynku nie ma, zajęty wypłatą robotnika — a ty lenistwo mu zechcesz może wyrzucać! On każdą łyżkę zsiadłego mleka zatruwa sobie myślą, skąd dobyć pieniędzy na żniwo — a ty wystąpić chcesz doń może z tyradą na temat zbytku?!

Nigdybym się na to nie odważył, i sama myśl tak niezręcznego postępku już mię zarumienia. Pogawędzimy sobie ot tak tylko na wzmiankowany temat. Otóż co znaczy wyraz „szlachetczyzna?“

Oznacza on wadę ogólną, nam wszystkim właściwą. Szczegółowe badanie wadliwości każdego z osobna ogniwa społecznej budowy zmusiłoby nas do powtarzania tych samych mniej więcej wyników, gdy przechodząc od cech ogólnych, różnych chorób trapiących nasz społeczny organizm, do pojedynczych ich objawów, spotkamy większą rozmaitość. W wędrówce takiej smutne ukażą się nam widoki, lecz mniej nurzące jednostajnością, niż wnioski bolesne wyciągane z różnorodnych formą obrazów. Wady nasze mnóstwo form mają, płynąc z tych samych niewielu źródeł.

Jednem z główniejszych jest *szlachetczyzna*, choroba wszczepiona w nasz charakter ze skrzywionej, skarłowaciałej gałęzi tradycyjnego rozwoju społeczeństwa. Przerodziła się ona w najrozmaitsze postacie, występuje tam nawet, gdzie jej najmniej spodziewać się należało, i to niestety, w zjawiskach które nic wspólnego ze *szlachetnością* nie mają. Szlachetczyzna jest wytworem czysto naszym, nikt z obcych nie przyzna się do niej, bo nam chluby niewiele przynosi ta oryginalność nieszczęsna.

Trzeba nam się porozumieć, co do samego znaczenia wyrazu. Mianem tym obdarzać zwykliśmy bardzo szczupły zakres właściwości jednej części narodu; ową dobroduszną fantazyję i butę ziemian zacofańszych, ich przestarzałe wyobrażenia, nieuzasadnione wśród dzisiejszych pojęć społecznych, pozostałości dawnych przesądów. Zjawiska to są zewnętrzne i już dziś rzadko, wyjątkowo zaledwie spotykane, w swych przestarzałych formach. Nie o nich tu mówić zamierzamy, bo miano przechodzącej już we wspomnienia śmieszności, rozciągamy na cały obszar wad naszego charakteru, płynących z tego samego co i one źródła. Dyletantyzm w życiu, pańskość usposobień, przecenianie siebie w stosunku do społeczeństwa, spaczone pojęcia pracy i użycia, lekkomyślność przedsięwzięć, lenistwo do czynów—oto są oznaki moralnej choroby zakorzenionej w nas od wieków, którą nazywamy szlachetczyzną.

Cześć dla tradycyi niech nas nie zaślepia aż do okrywania miłością wad przeszłości które doprowadziwszy nas do upadku i dziś jeszcze jak złe zielsko krzewią się zagłuszając dobre posiewy. Nazywajmy je po imieniu, starajmy się tępić je w sobie, uczmy się rozróżniać czcigodne od tego, przeciwko czemu walczyć nam trzeba całą siłą, jako przeciw nieprzyjacielowi tym straszniejszemu im słodszym i bardziej pochlebiającym się okazuje, aby mimo przestróg rozumu panować nad sercem naszem.

Ogół społeczeństwa naszego nie rozwijał się na zasadzie pracy, pracę w tradycyjnych wyobrażeniach naszych osłania nie powiem pogarda, ale pewien rodzaj litościwego lekceważenia. W czasach, z których płynie tradycyja nasza, pracował w roli lud stworzony do *roboty*, pogrążony w zapomnieniu żył, pracował rachubą, łokciem i kwartą; w *kunsztach* pracowało miejskie *pospólstwo*, zniemczałe w części, zakopane w odrębności cechów; a cała średnia masa narodu, wszystko co się uważało za *lepsze* lub do lepszości dążyło—*nie robiło* nic albo dążyło do tego ideału. Użycie w mniej lub więcej szlachetnej formie było treścią naszego życia.

Niechaj nikt nie posądza nas, iż chcemy wystawiać przeszłość naszę, jako przybytek próżniactwa, mamy my na pamięci patryjarchalną gospodarność pradziadów naszych i prababek, chcę tylko zwrócić uwagę że gospodarność ta była jeno roztropnem użyciem środków leżących pod ręką, dla otrzymania zasobu — nie była zaś celem, istotnym punktem wyjścia, osią, około której świat nasz obracał się. Z historyi widzieć można, jak w miarę rozszerzania się takich pojęć o *szlachetności*, rozkładało się i psuło społeczeństwo. Swoboda używania odpowiednich do charakteru narodowego uciech życia, zdobywana jakimkolwiek bądź kosztem, pochłonęła duch społeczeństwa i wśród ciemnoty ogólnej pchnęła je w otchłań nędzy.

Z napływem nowoczesnych wyobrażeń, przy zmienionym stanie rzeczy, szlachetczyzna zamiast ustępować, rozlała się na ogół zamalgamowanych bardziej stanów. Na podobieństwo mgły jakiejś nieokreślonej, pojęcia jej otoczyły umysły i nasiąkły w charaktery, jak dziedziczna choroba. Do dziś dnia rzadko kto z nas czemkolwiek bądź zajmujący się, lub udający, że się zajmuje — nie czuje w sobie tej żyłki szlacheckiej, której pierwszą oznaką jest chętka do owej wyższości co daje możność nic nie robić. Praca — bardzo to piękna rzecz, to temat wielce pouczających morałów, ale — bodaj to jej nie znać, żyć sobie bez natężania muskułów, myśli i woli, swobodnie, bezpiecznie! Dążyć do czegoś—pragnąć i zdobywać całą siłą — jest to niby właściwym żywiołem człowieka, ale... *nie musi* to chyba być naszą rzeczą, skoro Pan Bóg innym dał więcej sprytu i ochoty do tego; nasze cele, kto wie czy nie są podnioślejsze, bardziej szlachetne... kto wie czy niemi nie można by się osłonić w spokoju używania, gdyby nie smutna konieczność pchająca do walki o byt.

Taką pokusą w każdym z nas prawie przemawia owa szlachecka żyłka, lub bodaj nieświadomie oddziaływa na nasze zachowanie się względem otaczającego świata. Dzięki jej pracujemy jakby z musu, jak za pańszczyznę, w świecie pracy, przedsiębiorczości obracamy się, jak ofiary strącone z wyższej sfery do niewłaściwego sobie udziału. Takie też i owoce zbieramy. Gdzie nie ma ducha, gdzie brak atmosfery żywotnej działalności, życie wlecze się pół senne, przykre, ciężkie, co krok spotyka się upadek i ręce opadają bezwładnie nad wpół zaczętą ze sztucznym zapałem robotą.

Praca sama w sobie nie ma dla nas żadnego interesu, instynkt jej nie tkwi w naszej naturze, każdy z nas prawie uciekłby od niej z radością, jak żak od Alwara, gdyby mu tylko możność pozwoliła.

Spytajmy kogokolwiek z ludzi pełnych siły i zdolności nawet, coby on robił, gdyby dajmy na to wygrał na loteryi, lub otrzymał niespodziewany spadek?

— Kupiłbym listów zastawnych i żył bym z procentu, jak u Pana Boga za piecem! odpowie na pewno bez wahania. Mamy też sporą liczbę szczęśliwców, których jedyną pracą jest obcinanie kuponów, pośród wielkiego braku kapitału i pracy tam gdzie tylko nie okazuje się nieomylność kolosalnych a łatwych zysków.

Czegoż to objawem jest zatrważający nawał majątków ziemskich wystawionych na sprzedaż przy wyjątkowej rzadkości nabywców tuziemców? Nie jest że to bolesnym dowodem wstrętu do pracy, braku odwagi do przełamywania trudności, przedsiebierczości i energii w czynach, w szukaniu środków do wyjścia z czasowej stagnacyi. Czy bodaj jeden z dziesięciu zbywających swój, za ciężki, lub jak sądzi niekorzystny warsztat, zamierza na mniejszym skuteczniej pracować, albo przerzucić się na inne pole działalności? Na to niezezwala szlachetczyzna. Każdy wzdycha do tego tylko, aby wziąwszy kapitalik żyć sobie z niego w stolicy lub zagranicą i raz już zapomnieć o kłopotach.

Nasi przemysłowcy, kupcy, fabrykanci tak rzadko odznaczają się wytrwałością i umiejętnością obracania się w interesach, która wyróżnia cudzoziemców. Ich organiczną wadą bywa tu dyletantyzm szlachetczyzny. Rzucają się na *interes* z pragnieniem jak najrychlejszego zbogacenia, bez głębszego zżycia się z fachem. Pierwsza trudność której nieobliczyli, zapatrzeni w cel nie w środki, obala ich i wypycha z drogi, na którą wchodzą wytrawni, przyrośnięci do swej specyjalności przybysze.

Tradycyjna ta wada nasza niecharakteryzuje jeszcze szlachetczyzny, włączyć w nią jeszcze trzeba wiele innych jej cech.

Nie trzeba być głębokim znawcą polskiego charakteru, aby spostrzedz w nim dziecinną lekkomyślność obok ociężałości. Nic smutniejszego nad naszę umiejętność łudzenia się, powierzchowność w sądach, zamiarach i postępkach. Pewien rodzaj artystycznego niedbalstwa przeważnie panuje w naszem życiu, brak wszelkiej ścisłości co krok przerzuca nas od pacholęcej pustoty do ubolewań i westchnień nad stanem, w któryśmy się wtrącili jakby rozmyślnie. Rzeczywiste przejęcie się ważnością jakiej sprawy życiowej, nie może mieć przystępu do charakterów dotkniętych taką chorobą; wszystko tam jest chwilowe i pozorne, najzacniejsze chęci nawet, bez trwałych fundamentów runąć zawsze muszą i zmarnieć.

Nie gdzieindziej jak w owem traktowaniu życia z *pańska*, należy szukać przyczyny, dla czego u nas rzeczy koniecznej potrzeby nawet stać muszą zawsze po za szeregami wymagań próżności, przyzwyczajenia, widzimi się i t. p. dla czego myśl żadna poważniejsza nie przenika nas aż do zapanowania nad życiem. Każdy rad wmówić w siebie że postępuje jak można najlepiej; słabość i niedołęztwo swych starań, niedbalstwo własne, zwala na karb nieszczęścia; wzdryga się na myśl wprowadzenia w swój świat poważnego żywiołu wytrwałej działalności, a spostrzegłszy nawet mylną drogę swego postępowania, owija tę świadomość w bawełnę, i pragnie ją byle czem załagodzić.

Mnóstwem przykładów branych z codziennego życia możnaby uobrazować nieszczęsną

ŚLADY ŻYCIA.

XXVIII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Czytelniku, jeżeli kiedy pierś twoją napełniło smutne uczucie zwątpienia i apatyi, jeżeli znasz, co to jest spoglądać na około siebie, i niedopatrzyć żadnej wybitniejszej barwy życia, gdyż wszystko obraca się jednym kołowrotkiem, turkot którego sprowadza sen na twoje powieki. Sen... ciągły sen... *Vanitas, vanitatis, et omnia vanitas!...* Czujesz zapewne wtedy jakąś dziwną czczość. Chciałbyś przespać lata... wieki całe, i obudzić się aż wtedy, gdy chłodny wietrzyk jesieni orzeźwi uznojone czoło i wleje nowe życie do zamarłej piersi. Lecz, w tak smutnym nastroju ducha o ileż szczęśliwy jesteś odemnie. Możesz zamknąć spokojnie znużone powieki, zapomnieć o świecie całym, pożegnać tę palącą Saharę życia i na skrzydłach snu wzlecieć w krainę marzeń. Tymczasem biedny felijetonista musi mieć wiecznie otwarte źrenice, patrzeć i widzieć... śledzić każde tętno zamierającego zwolna życia, spoglądać na wybladłe oblicze społeczeństwa, które zasypia zwolna. On jeden tylko czuwać musi, spełniając niejako tym sposobem funkcyję stróża nocnego. Wy śpicie, nam sądzono schylać się nad waszemi głowami, śledzić wyraz oblicza waszego, budzić w razie grożącego niebezpieczeństwa, i każdy najdrobniejszy choćby objaw martwego życia zapisywać do księgi dziejów chwili obecnej. I choć głos nas niesłyszany najczęściej przechodzi mimo uszu waszych, my wiecznie wołać musimy.

Czasami jednakże z przykrem zakłopotaniem spoglądać musimy na przygotowane do zapełnienia białe karty dziennika. Dajcie nam faktów! — wołamy z rozpaczą. Cisza... ciągła cisza... zdaje się szyderczym odpowiadać głosem. Sami więc skrzętnie w pocie czoła szukać musimy. Biedni my, biedni!...

W zaufaniu, że nas nikt nie słucha, moglibyśmy idąc za przykładem jednego z braci naszych, zapełnić te szpalty kilkoma wielce podniosłemi morałami, któreby w ten sposób odniosły właściwy sobie skutek. Niechcemy jednakże bardziej jeszcze was usypiać, łaskawi czytelnicy.

Że jednakże niektóre działające jednostki nie uległy ogólnej epidemii snu, za dowód tego posłużyć może myśl założenia w Warszawie *czytelni dla kobiet*. Projektodawcą jest p. *Jeleński*. Zdziwicie się może, że tak doniosły fakt pomieszczamy w tym wstępnym felijetonniku, zaliczając go tym sposobem do sfery *ulotnych* dziejów grodu naszego. Niestety!... jakieś smutne przeczucie mówi nam, że się nie mylimy zupełnie. Wprawdzie niektóre z uroczych dziewic naszych, chwile wolne od obowiązkowej pracy i erotycznej praktyki, poświęcają niekiedy czytaniu, ale — ale....

— Panie Antoni, pożycz mi pan jakiej książki do czytania!

— Daruje pani, nie mam w moim księgozbiorze ani jednej powieści!

szlachetczyznę naszą. Aby spostrzegać jej zjawiska, jeśli nie w sobie samych, (bo na to ona właśnie nie pozwala), to w życiu społecznem, dość jest wejrzeć baczniej w każdą z osobna warstwę naszego ogółu i notować sobie każdy takt i fakcik stojący w zaciętej walce z logiką, każdy czyn wyrywający się z koła potrzeb ku bezmyślności. Obfitość takich spostrzeżeń doprowadzi nas do przekonania że... możemy być dumni z naszych wad narodowych które nas nie kumają przynajmniej z niemcami i tym podobnemi *nacyjami*, co zagrzęzły w marnych sprawach świata tego, a jeżeli nasz postęp ku lepszemu kulawo idzie i smutne horoskopy ten i ów wyciąga... to — „co tam!“ „jakoś to będzie!“ Zbyt gorzkie może to słowa, lecz niestety mieszczą one w sobie prawdę smutną bo *rzeczywistą*. *T. Z.*

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Artysta marzył słodko i rozkosznie a niewidziany jeszcze ideał ubierał w szaty jak najjaskrawsze!... Rozumie się, że osoba taka tajemniczą mgłą okryta może być ideałem w swoim rodzaju — chociaż to zdanie nie powinno wcale ubliżać ideałowi z białego dworku, który tam niecierpliwie czekał!...

Floryjan wstrząsł długie włosy i przyrzekł sam sobie, że przy pierwszej sposobności oświadczy się opiekunowi o rękę Salomei... Wprawdzie o taką sposobność od tygodnia już bardzo trudno, bo przecież tak ważnej rzeczy nie można na jedną kartę stawiać.... ale przy pierwszej zręczności...

Tak sobie mimo wszelkich pokus ruchliwej wyobraźni ułożył Floryjan i właśnie w tym zamiarze wszedł do gabinetu gospodarza—gdy nagle coś go tam uderzyło.

Szambora nie było — a tafla szklana była znacznie odchylona od ram hebanowych.

Floryjan spojrzał przez tę szczelinę....

O dziwo! Cóż tam obaczył!

Obaczył dwa pokoiki nieduże, z niesłychanym przepychem urządzone. Krzesła, zwierciadła i stoły miały za ornamenta koronę hrabiowską i herb jakiś nieswojski. Miękie dywany zaścielały posadzkę. Woń wyszukanych pachnideł napełniała powietrze... Widocznie mieszkała tu kobieta....

Floryjan zaparł oddech... spojrzał po raz drugi.... i — ujrzał ją!

Ujrzał ją przez odbicie w zwierciadle.

Była cudownie piękną i młodą. Siedziała zamyślona przy stoliku z hebanu. Jedną rękę trzymała na stoliku, a w drugiej spuszczonej na kolana trzymała jakiś kwiatek podobny do astry. Wejrzenie jej było smutne i melancholijne.... Jedwabna suknia wodnego koloru spływała koło niej w grubych przegubach... a włos kruczy w obfitych splotach spadał na miękkie, zaokrąglone ramiona..

W drugim pokoju dały się słyszeć kroki dosyć szybkie. Floryjan odskoczył od drzwi — a przed nim pojawiła się chmurna postać gospodarza.

Spojrzał z uwagą na gościa.

— Otrzymałem dzisiaj list od Salomei, rzekł po chwili z wejrzeniem badawczem.

Floryjan na to nic nie odpowiedział tylko oczy ku ziemi spuścił.

— Możebyśmy co zagrali! ozwał się po niejakim czasie.

Gospodarz patrzał czas niejaki na niego, potem przystając na jego propozycyją usiadł do gry.

Zdaje się, że Floryjan nie uznał tej chwili za sposobną do rozmówienia się z opiekunem Salomei.

XXIII.

Jeszcze tego samego wieczora, ująwszy sobie nowym podarunkiem starego Szymona, postanowił Floryjan zachwycić języka o pięknej nieznajomej.

Z Szymonem jednak trudna była sprawa. Stary ociągał się, zbywał go poruszeniem głowy lub ręki.

— Ależ powiedz mi przyjacielu otwarcie! dobijał Floryjan — nikt nas nie słyszy.

— Alboż człowiek jest pewny tego, że nikt go nie słucha? odparł z powagą Szymon i obejrzał się trwożliwie do koła izdebki.

— Wszak widzisz mur i drzwi zamknięte!

— Dla „Omanki“ nie ma ani muru ani zamków!

— Więc sądzisz, że to Omanka?

— A cóżby mogło być innego? Omanka, mówią ludzie, może się podzielić — może być na raz tu i tam, tem i owem!.... A pani nasza jest Omanką!

— Wszak przebywa za granicą!

— A światło księżycowe od czego? A okno okrągłe które zawsze wieczorem jest otwarte?

Dalsza rozmowa z Szymonem nic nie wyświeciła. Stary obstawał przy swoich „Omankach,“ a chociaż Floryjan przy tych zabobonach ludowych mógł się był wiele nauczyć, nie zbliżało go to jednak do upragnionej tajemnicy. Trafnie opowiedział mu Szymon, że „omanka“ może być tu i tam na raz — że nie ma jak każdy inny człowiek duszy-jedynaczki, ale ma ich kilka stosownie do okoliczności. Jednego kusi tą, drugiego inną, jak tego widzi potrzebę. Zawsze jest w pewnej roli jak artysta na scenie, a nigdy sobą... słowem zabobon ludowy mieścił pod grubą pokrywą wiele złotej prawdy, ale tajemnica pozostała tajemnicą. Tyle tylko po wielkich usiłowaniach mógł się Floryjan od starego sługi dowiedzieć, że w pałacu są pokoje, do których nikomu wejść nie wolno. Sam Szambor zamyka je starannie na klucz, a wieczorem siedzi tam samotny często aż do rana. Wtedy odzywa się stamtąd fortepijan, ale ludzie dworscy nie słuchają go, bo to sprawa z nieczystemi duchami.

Po tej rozmowie z Szymonem przyszedł Floryjan do przekonania, że w pałacu Szam-

---

— Ja też nie chcę powieści, chciałabym coś poważniejszego!

— Z jakiej dziedziny wiedzy?

— Tak z ogólnej! — Zresztą spuszczam się już na pański wybór.

Obdarzony tak zaszczytnem zaufaniem, przerzuciłem cały mój księgozbiór, i wynalazłem wreszcie rzecz najwłaściwszą dla dorywczego czytania.

Po tygodniu tak od niechcenia zapytałem żądnej wiedzy dziewicy.

— Panno Maryjo, czy przeczytała już pani książeczkę, którą przyniosłem.

— Nie, dopiero zaczęłam!

— No i jakże się pani podoba początek?...

— Dosyć!...

Po upływie kilku miesięcy zdołałem wreszcie odebrać studyjowane długo dzieło. Z rozmowy o niem przekonałem się, że aczkolwiek umysł szanownej dziewicy przełknął je, jak niemiłą pigułkę, nie zostawił jednakże żadnego śladu w światłej główce, gdzie dziwny chaos dorywczo pochwyconych myśli przypominał pierwotne dzieje stworzenia.

Nie przeczymy, że czytelnia p. Jeleńskiego może mieć z początku świetne powodzenie, jeżeli firma *dla kobiet* nada jej prawo *mody*. Wnet uczone Zosie, Marynie, Amelcie i t. p. rzucą się jak zgłodniałe kruki, aby mogły pochwalić się przed Józiem, Kaziem lub Jasiem, że czytają... że się kształcą... że pukają gwałtem do świątyń wiedzy. Ale łaskawe panie, nie pamiętacie o tem, że nauka to nie czcza zabawka, to nie błyskotki myśli, do których dusze wasze przywykły, to — nie blicht powierzchowny w który się *jaśń* wasza przystroiła. Że możecie nim zatumanić oczy Józiów, Kaziów lub Jasiów, którzy nie wiele więcej, a może mniej od was umieją, to lichy tryumf. Aniołki kochane, niegniewajcie się na felijetonistę waszego za te przykre *verba veritatis*. Kocha on was z duszy całej, ale kochałby bardziej jeszcze, gdyby w myśli waszej widział jasne światło życia, a w sercu blask potężnego uczucia!...

Ale przystąpmy czemprędzej do skreślenia choć w krótkości ulotnych dziejów chwili obecnej. Główny, jedyny prawie przedmiot przedstawia nam w tym względzie urocza Melpomena, która jedna tylko usilnie stara się umilić nam znojne dni żywota, a wspaniałe jej szaty coraz to w nowsze przyoblekają się barwy. Różowe kolory afiszów zdają się nęcić nowością duchowych wrażeń. Smutne jednakże często następuje rozczarowanie.

Dźwięczna lira muzyki pomaga, ile może, siostrzycy swojej w rozpraszaniu trosk z naszego czoła. Mamy już oddawna operę francuzką, która teraz przenosi świątynię swych bogów w urocze zacisze *Doliny Szwajcarskiej*. Teraz znowu w *Tivoli* dźwięczą już tony Italijańskiej pieśni. Stara nasza znajoma *pani Caroselli* produkuje *Violettę* i inne stare również znajomości.

Za to p. *Fliege* opuścił Warszawę, a szkoda, bo muzyczna lira jego sprawiała nam nie mało rozkoszy.

Tymczasem miejscowa Melpomena zleniwiała jakoś, w błogiem zapewne mniemaniu, że nowi przybysze wyręczają ją w zupełności.

bora rzeczywiście ktoś się przed światem ukrywa — dobrowolnie czy niedobrowolnie, o tem trudno wiedzieć.

Któż może być ta piękna kobieta, którą widział w zwierciadle? Co znaczą te herby nieswojskie na meblach? Jakaż tajemnica może ją tam trzymać zamkniętą?

Nazajutrz zbliżył się więcej do tej tajemnicy. Ujął sobie ogrodniczka i od niego dowiedział się po długich zapytaniach czegoś więcej, co mu nic do ręki dać mogło.

Ogrodniczek opowiadał mu, że od czasu do czasu przyjeżdża z za Karpat jakaś młoda bardzo piękna węgierka, bliska krewna nieboszczki żony Szambora. Jest ona bardzo bogatą i ma nad Dunajem zamek z mostem zwodzonym. Stryj trzyma ją przy sobie i niechce jej za mąż wydać, w nadziei, że ten zamek na niego przejdzie.

Czarnowłosa i czarnooka węgierka wzywała często pomocy Szambora przeciw wyrodnemu stryjowi, a Szambor nawet z tego powodu rozpoczął z powinowatym swoim proces. Dalej mówił ogrodniczek, że przed dwoma tygodniami była węgierka z jakąś starszą kobietą i za kilka dni nocną porą gdzieś wyjechała. Zdaje się, że Szamborowi chodziło o to, aby nikt nie wiedział, gdzie wyjechała, gdyż inaczej mówił stary Szymon, a inaczej stangret Wojciech. Zresztą, kto wie czy wyjechała?...

Gdy Floryjan to wszystko w głowie rozebrał, był przekonany, że owa tajemnicza Aldona jest właśnie ową przez stryja prześladowaną węgierką, której pan Szambor aż do ukończenia procesu daje u siebie tak tajemnicze schronienie. Widziane na meblach herby z koroną hrabiowską stosowały się zupełnie do tego przypuszczenia, a widny w dalekiej perspektywie zamek nad Dunajem z mostem zwodzonym, dodawał do tej myśli tyle uroku, że trudno było nie wierzyć!

Jeszcze tej samej nocy, po uciszeniu się fortepijanu zaczął Floryjan grać z większą niżeli zwykle werwą. Wyobraźnia jego była rozpłomieniona, a posłuszna tej wyobraźni ręka wydobywała z instrumentu tak rzewne i wymowne tony, że aż z poddasza wieży wysunął się na sam brzeg gzemsu jakiś puhacz czy krogulec, który tam dzisiaj na nocleg zawitał.

W wyobraźni Floryjana tworzyły się cudowne obrazy. Piękna młoda ofiara przewrotności ludzkiej jaśniała przed nim jaskrawemi barwami. Widział jej duże, ciemne oczy, widział uśmiech smutny i melancholijny — widział w dłoni kwiat jesienny...

Powoli wobec tego jaskrawego obrazu zaczęła blednąć spokojna twarz Salomei... Cichy, przyćmiony koloryt, nie mógł się ostać przy tęczowym blasku tak drastycznego obrazu! Biały dworek strasznie zmalał przy zamku naddunajskim z mostem zwodzonym!..

— Ale na cóż to marzenie? rzekł dobitnie artysta po północy, wypuszczając z ręki instrument — na cóż zda mi się to wszystko?...

I wstrząsł głową i położył się spać z tem postanowieniem, że jutro z Szamborem o Salomeę się rozmówi.

Dzień jutrzejszy bardzo sprzyjał temu projektowi. Słońce świeciło pogodnie, sine jesienne muszki napełniały powietrze, a ogrzane po zimnej nocy kwiaty i rośliny wydawały z siebie woń balsamiczną, która dziwnie upajała serce do marzeń rozkosznych.

Floryjan ubrał się starannie i zeszedł na dziedziniec. Na dziedzińcu spotkał się z Szamborem, który go serdecznie przywitał. Opowiadał mu, że w nocy miał napad podagry, ale nad ranem przy czystem powietrzu ustał ból zupełnie. Cieszył się, że cierpienie to przeminęło, i czuł się tak zdrowym i wesołym, jakim oddawna nie był. Żartował wiele, a nawet wyraźnie powiedział Floryjanowi, że dzisiaj może prosić o wszystko. Nawiasem wtrącił coś o Salomei i uśmiechnął się przytem bardzo znacząco.

Floryjan spostrzegł, że dla jego planów nadeszła właśnie pora jak najlepsza. Chciał właśnie zacząć — gdy mimowolnie spojrzał na okno okrągłe żelazną kratą obwarowane....

I w jednej chwili zapaliła się jego wyobraźnia. Biedna, nieszczęśliwa ofiara stanęła mu nagle przed oczyma... stanęła piękna i młoda... z tajemniczemi herbami... z zamkiem starożytnym!...

A w tej chwili wziął go Szambor za rękę i pociągnął za sobą do swego gabinetu.

Podczas gdy Szambor w drugim pokoju się zatrzymał aby dzienniki pozbierać — wszedł Floryjan sam do gabinetu i z niemałem zdumieniem obaczył znowu taflę zwierciadlaną odstającą od ram czarnych.

Szybko i ostrożnie zbliżył się do szpary.... i znowu ujrzał ją — ale znowu tylko w zwierciadle. Siedziała spokojnie na fotelu, a uśmiechając się smutno do niego, trzymała różowy palec na ustach, jakby mu zalecała bezwzględne milczenie.

Floryjan poczuł w piersiach serce mocno bijące... spojrzał jeszcze raz do tajemniczej komnaty... i obaczył tuż przy progu na małym stoliczku niepokaźny kawałek papieru. Prędko sięgnął po niego i schował w zanadrze, bo właśnie w tej chwili nadszedł gospodarz.

— Może zagramy — rzekł obojętnie do Floryjana.

Propozycyja ta była jeszcze w tej chwili dla Floryjana najlepszą. Mógł pójść na wieżę po wiolonczellę i tymczasem odczytać papier, który tyle mu obiecywał!

Szybko przystał na propozycyją, nie chciał przyjąć usługi Szymona, który po instrument chciał iść i wypadł z gabinetu.

Zaraz na schodach wyjął papier tajemniczy. Rozwinął go i zadrżał — papier był zapisany po francuzku. Po niepewnym ciągu poznał rękę kobiecą.

— „Nieuwierzysz pan — pisała nieznajoma, jaką radość sprawiasz mi grą swoją. Głęboka tajemnica musi osłaniać mój pobyt tutaj, przeto zaklinam pana, chciej uszanować tę tajemnicę. Rozmawiać możemy tylko grą — resztę trzeba odłożyć do przyjaźniejszych okoliczności. Być może, że one wcześniej nastąpią niżeli się pan spodziewasz! Proszę o milczenie.—“

Floryjan odczytał kilka razy tę kartkę i byłby ją do wieczora czytał, gdyby sobie nie przypomniał, że gospodarz czeka na niego

---

Jeden tylko p. *Chodźko* usilnie pracuje dla dobra ogólnego. A szan. reżyser pragnie zaprodukować nam rzeczy w stanie już zupełnie dojrzałym. Bo oto zapowiedziane od kilku miesięcy nowości marynują się wiecznie w kuchni artystycznej, skąd wyjść zapewne mają w całej pełni blasku i świetności. Niektóre z tych smacznych potraw duchowych spożywaliśmy już od dawna na wykwintnym stole ogródkowej Melpomeny. „Piękna Perfumiarka,“ jedna z najdorodniejszych i najweselszych cór papy Offenbacha, przekankanowawszy się należycie w Eldorado, ukaże się niebawem w wykwintniejszej zapewne szacie na deskach Teatru Letniego. Następnie ujrzymy „Co to jest miłość,“ — rozkosz, mówiąc nawiasem, już oddawna obiecaną, a wreszcie „Kwiat herbaty,“ który również zapowiedziany od wieków, nie zdołał się widać należycie przygotować. Czekajmy z cierpliwością! Już to nikt nas lepiej od pana Chodźki nie ćwiczy w tem uczuciu.

Oczekując na spełnienie obietnic szan. reżysera, możesz tymczasem szan. czytelniku przejechać się najspokojniej przez Wiedeń, Tryjest, Wenecyją, Padwę, Bononiją, Florencyją, Rzym, Neapol, i napowrót przez Livorno, Pizę, Spezzią, Genuę, Turyn, Medyjolan, Weronę, Freunzansfeste do Warszawy, co cię kosztować będzie skromną sumkę 550 lub 450 rs. Rzeczywiście, fakt, że znalazł się u nas przedsiebiorca, który powziął zebrać liczne towarzystwo dla wspólnego odbycia tej podróży, jest nader pocieszającym. Czy jednak znajdzie się dostateczna liczba ulubieńców natury, którzyby mogli bez zabójczego ciosu dla swej kieszeni sprawić sobie tę przyjemność o tem powątpiewamy. A mniej zasobnym indywiduom jest to dziwnie ponętna, ale niestety niemożebna do uskutecznienia pokusa. Oto i felijetonista waszławym okiem spogląda w dal widnokręgu, rozpościerającego się z okien jego siedziby, którą niebiosa zbyt wysoko zawiesiły, marzy o rozkoszy wzlecenia na skrzydłach pary daleko... daleko, gdzie go już nie będzie trapił ani niedyskretny gospodarz domu, ani nieznośny zecer, upominający się o rękopis.

No i cóż wam więcej powiedzieć nowego? Daremnie budzę do życia uśpioną pamięć. Wszystko jakoś blademi maluje się jej barwami. To już znane, to zanadto poważne do ulotnej pogadanki. Inni felijetoniści jakoś lepiej radzić sobie umieją. Oto autor „Pokłosia“ ukończywszy głębokie studyja nad poziomkami, przystąpił do skreślenia dziejów katarynki. Wkrótce dowiemy się zapewne o innych produktach i instrumentach, do których w kłopotach felijetonistowskiej wytwórczości, uda się myśl szanownego autora. A przedmiotów wiele się tu nastręcza. Wartoby może przyjść w sferę bardziej idealną, i skreślić dzieje wpływu niedołężnych operacyj mózgu literackiego na produkcyją błahych myślątek, od początków cywilizacyi, aż do zjawienia się na arenie piśmiennictwa teraźniejszego felijetonisty Kłosów. My zaś ze swojej strony usprawiedliwimy epilog zabójczym wpływom obecnej temperatury, i pozwolimy szan. koledze, w braku innej zabawy.... obejść się z naszą produkcyją tak, jakeśmy się z jego obeszli. Kąsajmy się i szarpmy. Temperatura atmosfery i tu nas usprawiedliwi!....

ze skrzypcami. Prąd gorący przebiegł po jego żyłach, przed oczami przesunęła jakaś mgła złota, rozkoszna. W mgle tej majaczyły jakieś cudowne, niewyraźne obrazy, aż serce na ich widok zadrżało!

Szybko z wiolonczellą zszedł z wieży i udał się do gospodarza. Gospodarz już tymczasem przygotował nuty i wkrótce rozpoczęła się gra.

Floryjan grał z prawdziwym zapałem, wiedział już że nieznajoma słucha go i że z nią tym sposobem rozmawia!

Szambor od czasu do czasu patrzał z pewnym cierpkim uśmiechem na grającego — a gdy grę skończył zaczął znowu rozmowę o Salomei i wyraźnie uwagę Floryjana w te stronę kierował. Floryjan jednak puszczał to mimo uszu patrząc zamyślony przed siebie. Od czasu do czasu z pewnym tajemniczym dreszczem spoglądał na szybę zwierciadlaną, która teraz szczelnie do czarnych ram była przyparta.

W jego głowie nie mogła się w żaden sposób rozwikłać ta dziwna tajemnica, do której go kartka zobowiązała. Mógł się już wygodnie domyślić, że ową nieznajomą nie mógł być nikt inny, jak tylko owa nieszczęśliwa pupilka wyrodnego swego stryja. Mógł nawet zrozumieć powody Szambora dla których taił się przed światem ze swoją tajemnicą dzisiejszą — ale nie mógł pojąć, dla czego owa nieznajoma sama nakazywała mu głębokie milczenie.

Nie mogąc tego rozwikłać postanowił poddać się konieczności i gospodarza o nic nie pytać. Mimo to w tak drastycznem położeniu nie mogła jego wyobraźnia być bezczynną. Wszak ona stanowiła prawie jedyną władzę duszy — a materyjał dla niej był tak ponętny!

Mimowoli rozsnuwał się przed oczami Floryjana cudowny obraz, oświecony tak jaskrawem, niezwykłem światłem. Tysiączne domysły otaczały nieznajomą tym większym urokiem, im mniej było prawdopodobieństwa, aby prędko podnieść tajemniczą kurtynę.

Kilka razy odzywał się jeszcze Szambor do niego wprowadzając wyraźnie Salomeę do rozmowy — ale Floryjan na to wcale nie zważał. Był zamyślony i nie mógł wzroku oderwać od tafli zwierciadlanej która teraz tak szczelnie przylegała do ram hebanowych.

Uwolniwszy się od towarzystwa gospodarza wyszedł do ogrodu, aby w samotności rozebrać raz jeszcze to dziwne zdarzenie. Długo chodził po zacienionych alejach, a przed nim jakiś psotny duch niósł obraz tajemniczy, przedstawiający nieznajomą w różnorodnych domysłach. Zawsze za nią majaczył jakby we mgle, nad stromym brzegiem Dunaju, zamek starożytny z wyszczerbionemi basztami i mostem zwodzonym....

Jakże mały i nikczemny wobec tego zamku był ten dworek biały, w którym widać okienko z oleandrem i liściem figowym!...

Ile razy z ciemnej alei zbliżał się do dziedzińca, nie zaniedbał spojrzeć w okrągłe, żelazną kratą obwarowane okienko... W okienku nie było nikogo! Żadnej twarzy, nawet białego rąbka szaty nie widzieć! Czasami tylko na zmatowanej szybie zarysowała się jakaś postać.... albo raczej odbijał się cień akacyi poruszanej wiatrem zachodnim!

Wieczorem udał się Floryjan do swojej izdebki i z zapartym oddechem wyczekiwał pierwszych tonów fortepijanu.

Fortepijan ozwał się — i znowu usłyszał Floryjan karnawał wenecki.

Ile treści miała teraz dla niego ta maskarada włoska! Cóż znaczyły owe tajemnicze zapytania? Jakąż odpowiedź dać na nie?...

Floryjan wziął wiolonczellę i zaczął odpowiadać. Odpowiadał — „Królem Olch.“ Była to ta sama muzyka, w której ongi Salomea słyszała tak jasno słowa ukochanego artysty!

Dzisiaj te same słowa wymówione były do innej.... a były również rzewne i tęskne!...

Po północy zasnął Floryjan, a we śnie widział Salomeę płaczącą przy łóżku babuni... Przetarłszy rano oczy, postanowił na seryjo rozmówić się z Szamborem.

Jakoż przed obiadem wszedł w poważnym nastroju do jego gabinetu.

W gabinecie nie zastał Szambora — ale za to obaczył znowu drzwi zwierciadlane odchylone. Zdawało się nawet, że właśnie w tej chwili ktoś je odchylił, bo jeszcze ruszyły się nieznacznie...

Floryjan pospieszył szybko do drzwi — i znowu obaczył w zwierciadle postać nieznajomej. Siedziała z książką w ręku. Zdaje się że w tej chwili podniosła głowę od książki i w niego się wpatrzyła. Tak wydawało się Floryjanowi. Być może, że tak samo przez odbicie w zwierciadle widziała drzwi odchylone. Patrzała na niego nieruchomie. Floryjana dreszcz przeszedł, gdy poczuł na swej twarzy czarne palące oczy węgierki... Na stoliku przy progu leżał znowu zwitek papieru... wziął go szybko — a słysząc z dala kroki Szambora, prędko wybiegł z pokoju.

W zacienionej alei rozwinął papier i czytał:

— Dzięki panu — pisała nieznajoma — za „króla Olch“, ale muszę przytem wyznać, że sprawił on na mnie bolesne wrażenie. W mojem dobrowolnem aczkolwiek niewytłumaczonem dla pana więzieniu, wysnułam sobie kilka złotych marzeń, o których myślałam, że kiedyś staną się rzeczywistością! Dla czegóż śród tych marzeń moich zagrałeś mi pan „Króla Olch?“ Czy chciałeś mi pan powiedzieć, że marzenia kobiety są tak samo złudne, jak złudne były owe majaczenia biednego dziecięcia, któremu rozumny ojciec wyraźnie powiedział:

„Ale co pleciesz, kto cię rozumie?
Toż to wiatr tylko, co liściem szumie!“

Czyż i marzenia moje mają być owym szelestem wiatru, który nam o ucho duszy uderza, a my nierozsądnie wyciągamy rękę, aby się dotknąć tego zwodniczego szelestu?... Odpowiedz mi pan na to! Elma.“

Gdy Floryjan te słowa przeczytał uderzyła mu krew do głowy. Potarł ręką po czole aby przyjść do przytomności.

Obiecaliśmy wam w zeszłym N-rze dać sprawozdanie z oryginalnego utworu, który zaprodukował nam p. *Teksel* w *Eldorado*. Tymczasem przyjrzawszy się z bliska „*Opiekunowi*“ *p. Józefa Starykoń* pomyśleliśmy sobie „szkoda czasu i atłasu.“ Czyż warto bowiem zastanawiać się bliżej nad niezgrabną lepianką niedołężnych sytuacyi, nad skarykaturowanymi typami, w których brak prawdy psychologicznej. Staranna dosyć gra pp. *Biron Czesł. Czapskiej i p. Waliszewskiego* nie uratowała tej niedołężnej produkcyi. Już to p. Teksel nie ma jakoś szczęścia w doborze nowości tak oryginalnych, jak i z obcej literatury przyswojonych.

Eldorado — a raczej pp. Teksel i Choromański — aczkolwiek wyłącznie prawie są namiętnymi czcicielami Offenbacha i Lecoque'a, jednakże i im się zdarza od czasu do czasu, że raczą nas, nie tak wyszukanemi potrawami, chociaż najczęściej z tej samej francuzkiej kuchni.

Dramat Fryderyka Soulie'go „Wywołaniec“ którego, jakoby na żądanie powtórzono w przeszłym tygodniu, jest sobie dramatem dawnej szkoły, w którym mechanizm sceniczny słaby, tendencyja żadna, intryga osnuta na prawdopodobnej śmierci bohatera, którego żona wychodzi powtórnie za mąż. W chwili zaślubin wywołańca, pułkownik napoleoński zjawia się, nie przeszkodziwszy jednak pojąć swej żonie młodego hrabiego d'Avarenne, syna prezesa smutnej pamięci doraźnych sądów w czasie Serrore-blanc. Panna Czesława Czapska, która grała Ludwikę Dubourg, mniemaną wdowę po Bernardzie wywołańcu, nie wiedząc jak wyjść z tego dwuznacznego, raczej dwużeńnego położenia — truje się i najprzyzwoiciej na fotelu umiera.

Wszystko by to było bardzo dobrze, gdyby roli głównej Jerzego Bernarda, nie oddano panu Kalicińskiemu, który nadał wysoce komiczny charakter, tragicznej roli Bernarda. Takiej parodyi, jakiej byliśmy tu świadkami, już dawno nie pamiętamy. Dziwić się należy Dyrekcyi, że mając w towarzystwie zdolnego artystę p. Waliszewskiego, dla którego ta rola byłaby stosowną, lub zresztą p. Muszyńskiego, który również przyzwoicie by ją *oddeklamował*, powierzyła ją p. Kalicińskiemu, który ma wprawdzie dużo cywilnej odwagi, lecz nic więcej. P. C. Czapska i p. Teksel ratowali dobrą grą całe to skandaliczne widowisko.

Nieszczęśliwie potyka się niekiedy p. *Grabiński* na drodze swej artystyczno-dyrektorskiej działalności. Pierwsze potknięcie się było w formie nieposzanowania podniosłej wyżyny sztuki przez sparodyjowanie „Zbójców.“ Drugiem, które teraz zaznaczamy, jest zaprodukowanie niesmacznego anachronizmu, nędznego świecidełka efektownych sytuacyi. Chcemy tu mówić o *Korsarzu*. Produkcyja ta nosi na sobie cechę przeróbki z jakiejś powieści Aleksandra Dumasa, a jak takie przeróbki wychodzą, mieliśmy już przykład na Wiktorze Hugo i innych znakomitych powieścio-pisarzach.

Co się tyczy gry artysty, to musimy tu przedewszystkiem wspomnieć o młodym debiutancie w roli tytułowej p. *Łucyjanie*. Nic nam

— Cóż mogą znaczyć te słowa? zapytał siebie, a serce zaczęło mu rość w piersiach — cóż znaczy ta dziwna skarga dziecięcego serca? Miałżebym grą moją dotknąć się tego serca, które mi tak nieśmiało lecz dosyć wyraźnie odpowiada?... Cóż za marzenia mogłem wzbudzić w tej duszy tajemniczej?... Marzenia przecież jasne jak słońce.... czuję to, że się nie mylę, bo i moje serce potwierdza przypuszczenie....

Wydarł kartę z pugilaresu i ołówkiem napisał na prędce:

— „Nieznajoma i tajemnicza! Bóg świadkiem że nigdy nie targnę się na twoje marzenia, a gdyby one przeszły kiedy w rzeczywistość byłbym najszczęśliwszym z ludzi! Tajemnica twoja pali mnie — a mimo to będę posłusznym i milczeć aż do grobu! Czekam i milczę. Floryjan.“

d. c. n.

OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

w XII i XIII wieku

szkicował

Ernest Świeżawski.

I.

Wojna niewieścia.

(ciąg dalszy)

Salomeja hrabianka Bergen.

Salomeja „trzecia żona“ Krzywoustego jak donoszą roczniki Zwiefalteńskie, była córką Henryka hrabiego Bergen i Adelajdy von Mochinthal, prócz niej mających jeszcze dwie córki Ryksę księżnę czeską, Zofiją księżnę morawską i trzech synów Henryka, Diepolda i Rapoto. Zamek rodziny tej na górze wzniesiony, i stąd po łacinie a Monte, po niemiecku Bergen przezywany leżał na południu od Ulmu w Wirtemberskim (Szwabii) o pół mili od miasteczka Echingen, nad Dunajem, a o dwie mile od klasztoru benedyktynów założonego w Zwiefalten 1089 przez hrabiów Achalmen. Klasztor ten najwięcej w swych rocznikach zachował wspomnień o Salomei, doznając nieraz jej szczodrobliwości. Z drugiej strony hrabianka zawdzięczała członkom zakonu w Zwiefalten swe wykształcenie. Albowiem nauczycielem jej był braciszek klasztorny, na świecie głośny rycerz szwabski, Otto ze Stutzelingen, który po dwukrotnej wędrówce do Ziemi świętej, w Zwiefalten przywdział habit mniszy. Zobaczemy, że Salomeja już będąc księżną polską wezwie pomocy dawnego swego mistrza, i zostawać będzie w ciągłych stosunkach z klasztorem w Zwiefalten.

Za mąż wyszła podobno 1110 roku, jakkolwiek z obliczeniem lat znanych urodzin dzieci Bolesława Krzywoustego, stosowniejszą datą zaślubin Salomei byłby rok 1114 lub 1115, po którym w 1115 lub 1116 powiła Leszka znanego i nekrologowi zwiefalteńskiemu gdy na dziesięć lat wprzódy (1105) przyszedł na świat Władysław syn Zbisławy. Na przerwę tę dziesięcioletnią, śmierć Zbisławy i drugie śluby Krzywoustego bez pośpiechu liczyć by można było.

Roczniki zwiefalteńskie podają 1110 rok za chwilę małżeństwa Salomei. I pod tym rokiem także, opowiada Długosz z nieznanych dotąd źródeł, że po daremnych usiłowaniach cesarza Henryka V w roku 1009, aby przywrócić Zbigniewa do współ-władztwa z Krzywoustym, nastąpił zjazd stron walczących w Bambergu, na wezwanie niemieckie. W tem mieście zawarli pokój Henryk V z Bolesławem III a na jego utrwalenie położyli pieczęć związków ślubnych: Krzywoustego z siostrą, a Władysława Bolesławicza z córką cesarską. Naruszewicz zwrócił uwagę, że Długosz przez pomyłkę wynikłą z podobieństwa imion, Henryka ojca Salomei uczynił cesarzem, a Agnieszkę siostrzenicę córką tegoż cesarza Henryka V.

W ten sposób zaprowadziwszy ład w gienealogii kobiet poślubianych 1110 r. wedle Długosza w Bambergu, przez książąt polskich moglibyśmy przyjąć jego podanie o tym wypadku, ile że zgodne w datach jest z innemi źródłami wcześniejszemi. Nareszcie nie należy zapominać, że Otto biskup Bamberga, około 1097 przybyły z Polski na dwór Henryka niemieckiego, już raz pośredniczył w zawieraniu małżeństw między dworem polskim i cesarskim. Obecnie, jako kanclerz cesarski, i stryj Salomei Bergen, — gdyż synowica naszego biskupa bamberskiego Gizela Bartoldówna margrabianka istryjska wyszła za mąż za Dypolda brata Salomei—mógł Otto, przyszły apostoł Pomorzan, wpływać na skojarzenie bliskich sobie przez przyjaźń i krew: rodzin Bergen i Pastów,*) oraz odpowiednio usposabiać swego monarchę Henryka V.

Gdy w roku 1124 w początkach Maja tenże Otto bamberski, zadość czyniąc swej chęci apostolstwa, na Polskę drogę swą do Pomorza obrócił, spotkał go Krzywousty na czele całego duchowieństwa i gnieźnieńskiej ludności pod murami miasta. Dla uczczenia osoby apostoła, Bolesław zezuł obuwie i boso witał gościa. Niepoprzestając na tem ze łzami prosił biskupa Ottona, aby jego święcenie (sacra) na króla, znać niedawno otrzymane, lub też śluby małżeńskie z Salomeją potwierdził rąk włożeniem. Wreszcie kazawszy wynieść swych synów jeszcze pierś matczyną ssących, na przeciw Ottonowi, zalecił im ślady nóg przybylca na ziemi całować.

Ta wzmianka żywocianu Ottonowego i jego spółcześnika Ebbona o „ssących“ w 1124 r. synach Bolesława Hermanowicza może tylko stosować się do starszych od Bolesława (Kędzierzawego) więc przed 1127 urodzonych z Salomei dzieci. Data (1131 rok) narodzin Mieszka Starego, młodszego od Bolesława IV, podobno mylną nie jest, chociaż w takim razie uderzają nas wczesne, bo w dziewiątym lub dziesiątym roku życia zawarte śluby mał-

*) Piszę to nazwisko zgodnie z najdawniejszą jego jedynie autentyczną formą rękopiśmienną.

---

tu zaiste nie pozostaje, jak podziwiać prawdziwą odwagę niepowołanego adeptu Melpomeny. Tak słabe siły artystyczne produkować w pierwszorzędnej roli, jest zaiste bohaterską rzeczą. P. Ł. nie umie zupełnie zapanować nad dykcyją swoją, która wyrządza mu różne nieprzewidziane figle. A rzecz dziwna, bo nie kiedy, rzadko zresztą, udało się debijutantowi powiedzieć słów kilka z należytą akcentacyją i modulacyją głosu. Całość gry jednakże była pełna gwałtownych, ale nieszczęśliwych porywów.

Panie Solska i Mirecka umiejętną grą podtrzymywały, o ile mogły, sztukę. Szczególniej gra ostatniej w scenie, kiedy zrozpaczona córka wymawia matce błędy jej życia, doszła do wysokiego stopnia artyzmu.

P. Swaryczewski wykonał powierzoną mu kreacyją z należytem zrozumieniem i umiejętnem odtworzeniem postaci.

PP. *Puchniewski, Kwieciński i Rusecki* powinni byli pamiętać że odtwarzane przez nich postacie, to nie proste komiczne postacie, jakie napotykamy w teraźniejszych farsach, lub komedyjach, ale szlachta francuzka XVIII-go wieku.

Panu *Zwolińskiemu* zabrakło siły i modulacyi głosu, dla oddania wysoce dramatycznej postaci Acharda.

Pan *Grubiński*, aczkolwiek nieprzygotowany, bo zastępując chorego kolegę, wykonał swą rolę nadspodziewanie dobrze, co dowodzi wielkich zdolności intuicyjnych.

Na mogile ś. p. *Wiktoryny Bakałowiczowej* ma stanąć pomnik, częścią z publicznych składek, często z osobistego funduszu wystawiony. Zmarła artystka zasłużyła sobie na ten hołd uznania, które przez długie lata pożytecznej działalności na arenie sztuki było słusznym jej udziałem.

Zasługuje ze wszech miar na uwagę pożyteczna prawdziwie działalność *Komitetu sanitarnego w Piotrkowie.* W tym względzie prowincyjonalny gród zawstydza nawet Warszawę. W dniu 25 z. m. odbyło się ogólne posiedzenie na którem rozstrzygano sumiennie i i szczegółowo wiele kwestyi, tyczących się zdrowia miejscowej ludności.

Przedewszystkiem pomyślano o przerobieniu szpitala, co zresztą może być tylko w szczupłym zakresie stosownie do niewielkich funduszów komitetu uskutecznione. Następnie słuchano sprawozdania z odbytej rewizyi różnych dziedzin miasta i zwrócono uwagę na wiele niezbędnych ulepszeń. Z wielu innych, zasługuje na uwagę wniosek, aby w wilgotnych suterenach ludzie nie mieszkali, aby stróżom dawano lepsze mieszkania, aby korytarze były bielone, schody czysto myte, a dziedzińce uprzątane. Wreszcie aby wyznaczeni byli dozorcy sanitarni, których obowiązkiem jest czuwać nad czystością miasta.

Widzimy więc, że działalność komitetu rozwija się szybko; i może posłużyć za przykład dla grodu naszego. Działalność to rzeczywiście sumienna, nie ograniczająca się czczą formą, ale śledząca rzeczywiste potrzeby życia.

W ten tylko sposób każda instytucyja społeczna może dojść do zamierzonego celu i spełnić należycie swe zadanie.

żeńskie. Bądź co bądź nie Mieszko to całował proch stóp Ottonowych.

Chwila przyjścia na świat Henryka nie jest nam znaną, podobnie jak Kazimierza, pierwszego tego imienia, który umarł 1131 r., gdy Kazimierz drugi, znany pod przydomkiem Sprawiedliwego, przyszedł na świat w roku śmierci ojcowskiej. Ponieważ nie wiemy, z powodu zgonu Henryka w 1165 roku i Kazimierza w r. 1131 zaszłych, ktoby nastąpił po Bolesławie IV gdyby miało rozstrzygać starszeństwo między Henrykiem i Kazimierzem, lub Mieszkiem, nie stoi na zawadzie nic przypuszczeniu, że to dwaj pierwsi z wspomnionych dopiero co synów Salomei i Krzywoustego, jeszcze u piersi będąc, składali z woli ojca tak wielkiej czci oznaki Ottonowi bamberskiemu. Zapiska rocznika krakowskiego mogłaby nieco bruździć tutaj, gdyż mylnie co do osoby, ale może nie co do istoty faktu, podaje pod rokiem 1111, stwierdzającym datę ślubu Salomei w r. 1110, urodziny Władysława (syna) Zbisławy...

Gdyby prawdą były te narodziny, byłby to pierwszy zadatek świeżo zawartych ślubów Krzywoustego z Salomeją, ślubów zgoła niepłonnych. Wyliczyliśmy już sześciu, jeżeli nie siedmiu, synów hrabianki bergeńskiej. Córek kroniki podają pięć: Bezimienna zrazu, a później w źródłach nazwana Judytą, została przez Bolesława i Mieszka wydaną w Kruszwicy 1149 r. za Ottona syna margrabi Alberta Niedźwiedzia brandeburczyka. Urodziła się zapewne najpóźniej po Leszku. Jednocześnie 1149 r. Ludgardę czy Dobrzyanę wykradł i poślubił Dytrych syn Konrada margrabi Miśnijskiego. Ryksa wyszła w 1230 roku za Magnusa, książęcia duńskiego, syna króla Nielsa (Mikołaja), z woli jeszcze Bolesława Hermanowicza Krzywoustego. Agnieszka, w kronikach późniejszych (zwłaszcza wielkopolskiej zbiorowej, czyli tak zwanego Bogufały, mieszana ze swą siostrą Judytą, urodziła się 1137 r. dopiero, bo w 1140 trzyletnią przeznaczoną do klasztoru, w Zwiefalten wydano za mąż, w niskie strony. Uniknęła więc losu Gertrudy, która zdaje się bezpośrednio po zgonie ojca została wysłaną do Zwiefalten. Ona zapewne przyniosła i wiadomość o smutnym tym wypadku, który zakonnicy uczcili postanowieniem, że co roku obchodzić będą rocznicę śmierci Bolesława z pięciu świecznikami i ucztą uroczystą na pamiątkę otrzymanych dobrodziejstw. Sama zaś Gertruda pozostała jako konwersa w klasztorze, w którym już jej babka i ciotka (Zofija) pomarły, aby modłami i życiem dziewiczem okupić grzechy swych rodziców, zmarłego już ojca i żyjącej jeszcze matki.

Odprowadził Gertrudę na miejsce jej przeznaczenia, zdaje się jej polski spółziomek imieniem Leopard jeden z kapelanów Bolesława III, towarzysz Ottona z Bambergu, na Pomorzu działający dla chrześcijaństwa i słowem i *sztuką*, ile że będąc biegły w rzeźbie, wyrabiał wizerunki Męki pańskiej dla neofitów. Pozostawszy z córką książęcą w klasztorze zwiefalteńskim, wykonał tam krucyfiks w tydzień wielkanocny używany, i okładki do ksiąg chóralnych wyrzezał; a nadto w darze złożył własność Ś. Ottona Bamberga, chustę jego od potu *), po polsku zwaną „szyrzyna“.

Pozostała w kraju Salomeja, niepoprzestała na modłach córki w Zwiefaltenie zanoszonych. Jak sama wyznaje w akcie urzędowym darowizny wsi Radziejów kościołowi ś. Jana w Mogilnie, niezaniedbała zamawiać licznych mszy za spokój duszy nieboszczyka męża. Pomimo to z tegoż samego aktu dowiadujemy się, że którejś nocy stanął przed oczyma wdowy, duch Bolesława Krzywoustego, w szacie opłakanie biednej, wyrzucał Salomei niedbałość w uposażeniu wspomnianego kościoła, w uposażeniu, które zdaniem nocnego widma miało być dla duszy zmarłego wielce użyteczne. Salomea zadośćuczyniła żądaniu pośmiertnemu, a rozporządzenie wówczas przez nią dokonane umocował groźbą klątwy arcybiskup Jakób, w bulli papiezkiej 1145 r. zwany Lubomirem, wedle zwyczaju ówczesnych Polaków którzy do imion katolickiego kalendarza dołączali słowiańskie, często z tej samej daty, jak np. Jakób ów Lubomir, albo też do imienia świętego z jednego dnia, dodają imię patrona następnego przez co na pozór są dwie osoby, jak np. Piotr Włost Dunin z naszych źródeł, i Hugon niemieckich, palideńskich roczników. W akcie wspomnianym Salomei, jeszcze drugą spotykamy szczególność czysto miejscową, względnie do czasów. Mianowicie znajdujemy w nim podpis Andrzeja „syna biskupa“ któremu jeszcze w roku 1246 odpowiada podpis Bogufała „syna arcybiskupa“ *). Wnosząc z papiezkich zakazów 428 i 465 r. wydanych, aby dwużennych, mężów wdów, na równi z świeckiemi nie czynić biskupami, i papieża Hilarego, który kazał z pocztu tych dostojników usuwać mężów wdów jako też z nakazu (1059—1061) dla Francyi Mikołaja II papieża, by tylko mężowie dziewic mogli być kapłanami, z pozwolenia papieża Aleksandra III jeszcze w latach 1159—1181 czynionego, aby biskup Kerefordu w Anglii przez wzgląd „na dzikość strony“ i t. p. okoliczności dopuszczał małżeństw duchowych niższych stopni **), z przepisu papieża Lucyjana III z lat 1181—1185 tolerującego nadużycie w tym względzie *niewidoczne* kleryków i księży, — wreszcie ze słów papieża Klemensa III, między 1187—1191 wyrzeczonych, że kapłanom

*) Sudaryjum. Manipularz księży pierwotnie był chustą służącą do obcierania się z potu i łez przy obrzędzie Mszy Ś-tej. Po polsku zwało to się szyrzyna, szyrzynka (Helcel St .Pon. Pr. Pol. II 264 N. 1824 por. str. 640 N. 3583, str. 354 N. 2340). W drukujących się gospodarczych zapiskach kosztem biblijoteki Krasińskich znajdujemy użyty ten wyraz szyrzyna, bez objaśnienia, tylko z dodaniem słów „na kazalni“ haftowana od święta i t. d.

*) Raczyński Cod. Maj. Pol. str. 28.

**) Regestra Pontificum Jallego N. 9010 por. co do Kremony toż pozwolenie 1066 Aleksandra II, 1089 Urbana II, nakazy Kaliksta II, co do żenienia się kapłanów, dyjakonów i subdyjakonów z 1119, 1123; por. synody 1130; 1139, 1148. Małżeństw *niższym* od subdyjakona nie bronił i Grzegorz VII tylko wyższym.

W księgarnii W. Błaszkowskiego koło Uniwersytetu znaleźliśmy przypadkiem niezmiernie ciekawy i pouczający atlas szkolny jeograficzny. Składa się z ośmiu tablic wielkości dużej ćwiartki papieru. Jedna kartka jest luźna i zwykłym sposobem przedstawia pięć części świata (Ameryka ma 2 mapy), ogólny plan, planiglob i Niemcy. Druga kartka przedstawia toż samo w formie plastycznej, to jest góry i wyżyny są przedstawione wypukło, i w miarę jak które są wyższe, to stosunek jest utrzymany. Z pomocą takiego atlasu niezmiernie dobrze omija się pierwszy szkopuł jeograficznej nauki, brak uzmysłowienia rzeźby powierzchni ziemskiej. Pozostaje tylko jeszcze usunąć rażący przy obecnym systemie rysu kart jeograficznych, błąd mylnego stosunku rozległości krajów do siebie — konieczny przy braniu rzutów na płaszczyznę równika, z granic krajów położonych na powierzchni sterоidy, której podstawą średnicową niejaką, jest owa płaszczyzna równika. Ów atlas nosi tytuł: Plastischer Schulatlas Augusta Rovenstein, nakład Dondorfa w Frankfurcie nad Menem. Cena o koło 2 rs. nie zdaje się być za wysoką względnie do zalet kart, które są wyborne przy metodzie poglądowej.

Na zasadzie ustawy, ogłoszonej w pismach publicznych na początku b. r., o nagrodach konkursowych z funduszu stałego imienia *Tytusa Chałubińskiego*, doktora medycyny i chirurgii, b. profesora kliniki terapeutycznej w uniwersytecie Warszawskim i członka czynnego Towarzystwa lekarskiego, obecnie Towarzystwo ogłasza pierwszy konkurs z tego funduszu.

Do konkursu przyjmowane będą prace oryginalne, najmniej 5 arkuszy druku zawierające, wydane w ciągu trzech lat, od d. 1 kwietnia 1873 do d. 1 kwietnia 1876 r. w przedmiotach tyczących się medycyny, oraz nauk pomocniczych.

Synowie Zachodu tak mało zajmują się wszystkiem, co ziemia nasza wydała, z tak dziwnym obskurantyzmem zapatrują się niekiedy na życie nasze, że każde łaskawsze ich zajrzenie do księgi naszego żywota zasługuje, aby je wielkiemi literami zaznaczyć w księdze dziejów chwili obecnej.

Współpracownikiem pisma kwartalnego *Revue des questions historiques*, wychodzącem w Paryżu od lat dziewięciu, jest p. *B. Zaleski*, jako sprawozdawca o dziełach polskich. P. Z. jak donosi korespondent Kłosów, ma nader sumiennie wywiązywać się ze swego zadania. W pracach jego znajdują się obszerne wzmianki mówiące o dziełach Lelewela, Szajnochy, Bielowskiego, Helcla, Maciejowskiego, Morawskiego, Balińskiego, Malinowskiego, Walewskiego, Szujskiego, Hoffmana etc. Lecz mimo tej obfitości materyjału znajdujemy tu przecież i rażące luki. O Wójcickim i Szmicie autor wcale nie wspomina. Z nowych dzieł rozebrane są monografije Kętrzyńskiego, Węclewskiego, Jarochowskiego, Tarnowskiego, Bulińskiego etc.

Pisze także pan Zaleski o trzytomowem dziele J. I. Kraszewskiego i utrzymuje, że aczkolwiek praca Kraszewskiego nie posiada, może, wszystkich warunków dzieła history-

greckim wolno się legalnie żenić: musiała być chwila w kościele chrześcijańskim, z której pochop brały wszystkie powyższe miejscowe i chronologiczne nieregularności. Kroniki szlązkie donoszą, że do 1143 roku „wedle podań“ wielu biskupów, kanoników i i księży polskich było żonatych. Zalecenia papieża Eugienijusza III w 1146 roku co do Czech i Moraw w tej kwestyi, a u nas działalność legatów (może już Rajnolda za Mieszka III Piotra z Kapni 1189, Mallebranki 1197, i Henryka Ketlicza arcybiskupa gnieźnieńskiego albo polskiego (jak się sam kolejno tytułuje), kaznodziei Gerranda 1251 roku, spółczesne tendycyje żywotów św. Stanisława wskazują, że i w Polsce kwestyja celibatu była wielce ciernistą.

d. c. n.

Listy z praktyki nauczycielskiej.

II.

(ciąg dalszy)

Zakłopotana niemało stanęłam w obec pola mej pracy zaniedbanego w najwyższym stopniu przez moje poprzedniczki. Od czego zacząć tę pracę? Najprzód wypadło by dać zapomnieć uczennicom to wszystko co w ich główkach nagromadziło się a potem zacząć wszystko od początku. Szczęściem tak mało spamiętały z kilkoletniej nauki, że dzieło zapomnienia można uważać za skończone i z gruntu na nowo zacząć naukę.

Za początek uważałam dać poznać co to właściwie jest nauka i jaki jest cel nauczania, zachęcić do niej, jednem słowem położyć podstawę dla rzeczywistej nauki.

Zupełny brak książek i środków naukowych niedopuszczał rozpoczęcia poważnych lekcyj, więc czas oczekiwania na wypisane przezemnie podręczniki użyłam na wstęp do nauki, korzystając w tych pierwszych krokach z sympatyi którą szczęśliwie od początku zjednałam sobie w uczennicach.

— Będziemy się uczyć przy domowych zajęciach, na przechadzce, podczas zajęć ręcznych, powiedziałam dziewczętom, książki nam jeszcze nie potrzebne. I rzeczywiście oprócz godzinki dziennie poświęconej obowiązkowej nauce, cały czas przepędzaliśmy zupełnie swobodnie.

Dziewczęta ciekawe były jaka to nauka będzie przy gospodarstwie i na spacerze; zdaje się że oczekiwały, rychło każę im powtarzać na pamięć słówka i frazesy francuzkie, lub zadawać arytmetyczne zadania. Zdziwiły się zapewne poznawszy, że ja nazywam tu nauką zajmującą, ciekawą i miłą dla nich pogawędkę a co więcej że one same uczą mię także wielu rzeczy.

Doszłam do przekonania, że uczynienie z nauki przyjemnej rzeczy, nie jest żadną utopią. Nie pamiętam poważniej i przyjemniej spędzonego czasu nad pierwsze dnie mego pobytu w domu pp. Z.

Muszę ci dać mały obrazek naszej początkowej nauki. Zaczynamy ją o świcie. Najprzód raniutko wstawszy biegniemy do krów. Dziewczątka rade z mej niewiadomości w rzeczach wiejskiego gospodarstwa opowiadają mi różne rzeczy znane im dobrze. Zadaję im pytania zmuszające je do zastanowienia się i dokładnego tłomaczenia. Od rzeczy najprostszych dochodzimy do bardziej złożonych, do kwestyj nad któremi uczennice nie myślały nigdy, spostrzeżeń, których nie łączyły z sobą, zjawisk zwyczajnych nie badanych nigdy. Tu ja już występuję z pomocą w ich kłopocie. Rozmawiamy dajmy na to o krowach, o mleku, o paszy; stąd prosta droga do objaśnień o odżywianiu, o chemicznym składzie mleka. Tłomaczę dziewczętom naukowo to co one mi praktycznie objaśniają. Stąd wysnuwa się dalsza zajmująca dla mnie ciekawa i interesująca dla nich gawędka.

Nie uczono nas wprawdzie nauk przyrodzonych, lecz wiadomości których sama nabyłam, wystarczają nam na tymczasem. Idziemy się kąpać. Gawędka ciągnie się dalej przeplatana śmiechem wesołym, który nie zawsze bywa nieprzyjacielem myśli poważnej. Rosa, mgła, bieg wody, jej ciepło, a nawet dzwonienie zębami po wyskoczeniu na brzeg z kąpieli, dostarczają nam niewyczerpanych przedmiotów do rozmowy, którą bez cienia pedanteryi prowadzę z kochanemi dziewczątkami, pobudzana już raczej ich ciekawością niż narzucająca się zręcznie z mądrością swoją. Biegniemy ku domowi aby się ogrzać i jesteśmy już w swoich ogródkach, bo i ja mam swój także. Każda z nas jakąś nowość znajduje u siebie. Naznaczamy sobie na potem dużo roboty i zaznaczamy sobie w pamięci jakiś przedmiot do rozmowy, bo oto czas się ubrać i zająć się śniadaniem. Schodzimy się do jadalni w całym komplecie; tu babunia bierze mię pod swoję władzę. Pani Z. rozporządza śniadaniem do spółki z Helenką która filozofuje nad maszynką do kawy. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z dotychczasowych zajęć, rozmowa snuje się ożywiona, wesoła i swobodna.

d. c. n.

PIERWOTNE JESTESTWA ZIEMI.

Pierwociny życia — Ziemia w postaci mgławicy — Stopniowe jej rozwoje — Trzy warstwy atmosfery — Temperatura — Walka wody z ogniem — Martwota w okresie pierwotnym — Epoka syluryczna — Oceany dewonu — Flora węglowa — Porfiry i syenity permskie — Płazy okresu drugorzędowego — Wolcye i Haldingeryo — Ammonity i bellemnity jurasu — Potworne jaszczury — Zamje — Olbrzymy krokodylowe — Polipy architektami pokładów ziemnych — Formacya jurasowa w Polsce — Utwór kredowy — Rozbójniczy Mososawrus — Wygląd ziemi w epoce pokredowej — Flora i fauna trzeciorzędowa — Nummulity — Kataklizmy potopowe — Epoka lodowa — Ślady istnienia w niej człowieka — Rozwoje życia w epoce diluwijalnej — Aluwium — Bohaterskie zapasy człowieka z przyrodą i jej tworami — Człowiek wychodzi z walki zwycięzko i zostaje panem ziemi. *(dal. ciąg)*.

W ten sposób z olbrzymiego zbiornika ukrytego w głębi ziemi, wylewały się na jej powierzchnię potoki wapienia. Ponieważ morze zapełniło naówczas prawie całą ziemię, zatem

---

cznego i nie rozszerza wyobraźni naszych, powziętych o tej epoce (koniec XVIII w.) w każdym jednakże razie zastępuje nam wiele ksiąg, odpowiada godnie uznanemu talentowi autora i jest jednem z dzieł najbardziej zajmujących i pożytecznych.

Czytamy w pismach codziennych: Dyrekcyja Banku Państwa ma honor podać do wiadomości publicznej, że do terminu, określonego do przyjmowania deklaracyj od osób, pragnących wyznaczyć należące do nich 5% bilety bankowe 1-ej emisyi, drugiego dziesięciolecia, do losowania w roku bieżącym, nadeszło do Banku 714 deklaracyi; według sumy wykazanych w nich biletów za 32,117,100 rub. Wykup zaś biletów z losowania w roku bieżącym ograniczał się na sumie 5,584,100 rub. Nadesłane do Banku deklaracyje, zostały połączone w porządku nadchodzenia, podzielone według sumy na seryę, każda po 25,000 rub., a z nich jedna była niezupełna, 17,100 rub. Z tych seryi ponumerowanych po porządku układania ich z deklaracyi, odbyło się na posiedzeniu dyrekcyi Banku, 21 maja 1875 r. ciągnienie do umożenia biletów. Wyciągnięte losem numery wykazały serye, w których zawierają się deklaracye z oznaczeniem biletów podlegających umorzeniu losowania. Ułożone w taki sposób tablice 5% biletów bankowych 1-ej emisyi drugiego dziesięcia, wylosowanych 21 maja, wydrukowane zostały na oddzielnych arkuszach i rozsyłają się przy *Gońcu Urzędowym* i dziennikach *St. Petersb.* i *Moskiewsk. Wiedom.*, oprócz tego dla pragnących poinformować się, posłane zostały do wszystkich kas powiatowych, kantorów i oddziałów Banku i sprzedają się w Banku, w St. Petersburgu, po 10 kop. za egzemplarz. Za wylosowane bilety, kapitał i procenty za kupony z terminem 1-go listopada 1875 r., według postanowienia o tych biletach, będą wypłacane od 1 listopada w Banku, jego kantorach i oddziałach, w pierwszym w całkowitej sumie, a w ostatnich dwóch instytucyach—w kantorach i oddziałach Banku, z wytrąceniem z kapitału % za transfert pieniędzy. Pragnący zaś otrzymać wypłatę przed wyżej wskazanym terminem 1 listopada, mogą składać w tym celu należące do nich bilety do Banku, jego kantorów i oddziałów i przed 1 listopada, lecz w takim wypadku procenty za kuponem z terminem 1 listopada 1875 r. wypłacają się tylko do dnia złożenia biletu do wypłaty. Bilety złożone do wypłaty przez 1 listopada powinny mieć przy sobie kupony, poczynając od kuponu z terminem 1 listopada 1875 r. włącznie; składane zaś do wypłaty po 1 listopada powinny mieć wszystkie kupony poczynając od 1 maja 1876 r. włącznie. Za każdy brakujący kupon odpowiednia suma będzie straconą z kapitału biletu.

owe potoki osadzały w jego łożysku wapień w nich rozpuszczony. Od epoki więc sylurycznej ocean zaczął się nasycać solami wapiennemi.— Z biegiem czasu osady wapienne wytworzyły pokłady do tysiąca stóp grubości dochodzące, co mianowicie następuje w epoce jurasowej i kredowej.

Z kolei przychodzi mi mówić o formacyi węglowej.— Powstała ona ze szczątków roślin pradawnych, zagrzebanych w ziemi — pod wpływem rozkładu materyj bituminicznych i żywic, włókna roślinne przetworzyły się w węgiel,— z traw i bagnisk epoki węglowej dziś użytkujemy— dają nam one materyjał opałowy i światło gazowe i prześliczne farby anilinowe, pomijając jeszcze inne otrzymywane z węgla użytki.

Charakterystyczną cechą epoki węglowej jest przepyszny rozwój roślinności.

W owoczesnej atmosferze ziemi, przesyconej wilgocią i ogrzewanej silnie promieniami słonecznemi, krzewiły się gatunki flory napotykane dziś jedynie w krajach zwrotnikowych. Jednostajna temperatura panowała naówczas na całej kuli ziemskiej. —Od równika do wyspy Melville na oceanie północnym, od środkowej Afryki do Spicbergu, rozkwitała jednakowa roślinność pod niebem wszędzie płomienistem. Klimaty przejawiają się dopiero w okresie trzeciorzędowym, w którym zimno daje się uczuwać przy biegunach.

Przyjrzyjmy się nieco florze węglowej.

Wątłe dziś paprocie dorastają do znacznej wysokości, czego dowodzą Sigilaryje które dosięgały sto stóp wysokości. Skrzypy z łodygą dęba członkowaną, mającą zamiast liści, stawy okryte pochewkami błonistemi, dochodzą 30 stóp pol. wysokości, a 8 calowej grubości.—Pnie tych skrzypów nazywamy kalamitami. Widłaki krzewiące się obecnie w postaci łodyżek często płożących się po ziemi, zbudowane prawie całkiem z naczyń piaskowatych, nazywane dziś *babimorami*, *wrońcami*, *czołgami*, były naówczas okazałemi drzewami.

Lepidodendrony tworzyły w tej epoce wspaniałe lasy. — Pnie ich dochodziły grubości czterech stóp, a liście długie na dwie stóp przedstawiały się malowniczo. Trudno wyobrazić sobie coś więcej czarującego nad krajobrazy z epoki węglowej. — W głębi dziewiczych lasów, rośliny pasożytne *Sphe naperis i Hyme phyllites*, podobne z postaci do storczyków i roślin ananasowatych, wieszają się na olbrzymich drzewach i tworzą festony artystyczne.

Obok skrzypów, widłaków, paproci, krzewiły się rośliny dwuliścienne, nagonasienne, (gymnoeperma), annuluzyje tworzące drobne pływające trawy o licznych listkach baldaszkowatych—i przepyszne sigilaryje paprociowe, w postaci drzew wyniosłych uwieńczonych pióropuszem liści wązkich, z korą żłobkowaną, powyciskaną przez dawne liście na kształt pieczęci (sigillume) od czego też nazwę otrzymały. Według opinii paleontologów, stygmaryje były roślinami skrytopłciowemi, rodzącemi owoc pod ziemią.—Wreszcie florę węglową pomnażały prześliczne asterofilije i lepidendrony.

Fauna przeważnie zajmująca morza, składała się z ryb, mięczaków, skorupiaków i zwierzokrzewów. Potworne ryby uzbrojone ogromną paszczą i potężnemi zębami, przypominające ustrojem rodzaje *Holoptychius* i *Megalichthys*, wojowały na oceanie, a na jego pobrzeżach błąkały się olbrzymie płazy zwane *archegosaniami*, wreszcie w powietrzu krążyły owady należące do rodziny żuków tęgo pokrywych.

Epoka węglowa cechuje się bogatym rozkwitem flory i słabym rozwojem fauny.— W zatoce Fuerdy (w Nowej Szkocyi) wykryto całe lasy zwęglone, a grubość ich pokładu dochodziła 1400 stóp polskich. — Kopalnie węgla znachodzimy we wszystkich prawie krajach Europy i Ameryki. W olkuskiem między Dąbrową a Bendzinem posiadamy bogatą kopalnię węgla kamiennego, którego warstwy dosięgają 50 stóp grubości. — Węgiel nasz bywa zwarstwowany naprzemian z szarym piaskowcem, lub z gliną łupkowatą.

Po epoce węglowej następuje *Fermska*. W zeskorupiałej powłoce ziemskiej, znacznie już oziębionej powstały liczne rozpadliny, przez które wylewały się z wnętrza ziemi na jej powierzchnię materyje płynne, tworząc kopuły i wzgórza. — Wówczas to wydźwignęły się z łona ciemności na światło dzienne syenity i porfiry, chociaż te ostatnie zaczęły się już przejawiać w okresie czasu poprzedzającym utwór węglowy.— W epoce wszakże permskiej porfiry i syenity tworzą góry potężne i nagie, gdyż na rozpalonej ich powierzchni, nie mogło jeszcze zakiełkować życie roślinne.

Natomiast gdzieindziej, na płaszczyznach i archipelagach, krzewiła się bogata flora poczęta w epoce węgla.

Przenieśmy się myślą w ten nowy okres rozwoju ziemi. Widzimy z łona oceanu wytryskujące snopy pary wodnej, w skutek ciepła wytworzonego z rozpalonych syenitów i porfirów, oddziaływającego na wodę. Para ta kłębi się, wiruje, wznosi w górne warstwy atmosfery, tam się zgęszcza i spada w ulewnym deszczu, potem znów cisza — nowy wytwór pary kłębiącej się, unoszącej w szlaki powietrzne i spływającej w potokach wody przy blasku błyskawic i bicia piorunów.

Forma perum nie różni się prawie od węglowej. *Psaronus* i *Noeggerathia* tworzą w tej epoce lasy olbrzymie.

Na pobrzeżach morza pełza potworny krokodyl *protorosaurus* — z ryb uwijają się po wodnych topielach *paleonis scas* i *platysomus* należące do rzędu kostołuskich. Z mięczaków przejawia się gatunek *Spizifer undulatus*, a z polipów meszkowatych *Feuestrella*.

Utwór permski składa się z konglomeratu czerwonego, z dolomitu szarego i piaskowca wogezskiego; rodziną tego ostatniego jak sama nazwa wskazuje są Wogezy.

Utwór permski zajmuje głównie wschodnią część Rosyi, ciągnie się w szerokim płacie od Jarosławia do gór Uralskich. W Polsce znachodzimy go pod Zagdaciskiem około Kielc i w okolicach Kajetanowa.

Morza permskie zalewały dzisiejsze pasmo Wogezów, Bawaryję, Wielkie księztwo Badeńskie—rozciągały się po Szląsk i Saksoniją nie łącząc się z oceanem, zajmującym z jednej strony całą Rosyję, a z drugiej środkową Angliję. We Francyi wielkie płaskowzgórze środkowe tworzyło ówczesną wyspę rozciągającą się prawdopodobnie aż do Pirenejów. Skały Bretońskie tworzyły drugą wyspę.

Czas mi przejść do nowego okresu w dziejach tworzenia się naszego planety, do okresu zwanego *Drugorzędowym*.

Dotąd ziemia, jakkolwiek strojna w prześliczny płaszcz zieleni, osłaniający jej barki, nie przejawia przecież żadnego powabu. Czegoż jej brak?—Oto życia będącego dotąd zaledwie w kolebce. W rzeczy samej, żaden zwierz ssący nie przerywa rykiem milczenia jej wspaniałych lasów.— Żaden ptak nie przerzyna powietrzni skrzydłem, nie nuci pieśni miłosnej.

Przyrodzie brak tonów melodyjnych, brak żywszych objawów uczucia i inteligencyi.

Ryby, skorupiaki, mięczaki i zwierzokrzewy żyją w głębiach morza, życiem pozbawione wrażeń. Brak ziemi pieśni, poezyi, namiętności i myśli.

Natomiast w epoce drugorzędowej występują na pobrzeżach morza olbrzymie płazy jaszczurowate i żółwie, a na wodach oceanu ukazują się ammonity jestestwa wielce osobliwego ustroju. Dzielimy ten okres na trzy epoki: *tryjasową, jarosową* i *kredową*.

W tryjasie przejawia się mnóstwo mięczaków, ryb pancernych i jeżowców, oraz potwornej wielkości płazy *Labyriuthodon* i *Nothosaurus*.

Skrzypy są rzadkie, a natomiast pokrewne im kalamodendrony bardzo obfite. Z drzew szyszkowych *Wolcyje* podobne do cyprysów i *Hajdingeryje* tworzą wówczas większą część lasów.

Piaskowiec pstry i wapień muszlowy tryjasu występują we Francyi, w Pirenejach i Wogezach, w Anglii, Niemczech, Czechach, w Polsce, w północnej Europie, a nadto w Boliwii, Kolumbii, Meksyku i Antyllach. Z epoki tryjasowej pochodzą też wielkie pokłady soli morskich, osadzonych przez wodę parującą. Pokłady soli w Bochni i Wieliczce pochodzą nie z tego okresu lecz *z trzeciorzędowego*.

Sole zresztą tryjasowe mieszczą się zawsze w znacznej głębokości ziemi.

Do najważniejszych epok w historyi kuli ziemskiej, należy niezaprzeczenie Jurasowa, tak nazwana od gór istniejących na pograniczu Francyi. Juras dzieli się na peryjod *Lejasowy* i *oolinowy* czyli *wapienia ikrowatego*. Cechą lejasu są ogromne jaszczury, należące do najosobliwszych tworów przyrody i *ammonity*, jestestwa w morzu żyjące, które otrzymały nazwę powyższą, z powodu swego podobieństwa do rogów tryka, zdobiących główną fasadę świątyń Jowisza Ammona.

Ammonity były głowonogani, to jest mięczakami zamkniętemi w okrągłej muszli, zwiniętej spiralnie, na jednej płaszczyznie i podzielonej na jamy. Ciało zwierzęcia zajmowało wyłącznie jamę najbliższą otworu— inne zaś wydrążenia były puste. Przez wszystkie te jamy, przechodziła rura posługująca zwierzęciu do stawania się lżejszem lub cięższem. Ammonit mógł wprowadzać dowolnie wodę do tego przewodu, lub ją wyrzucać, a tem samem obniżać się do głębi topieli wodnych, lub wypływać na ich powierzchnię. Nasz łodzik (Nautilus) ustrojem przypomina doskonale ammonity lejasowe.

Milijardy tych jestestw pływały po owoczesnych morzach, polując na zdobycz. Najwytworniejszemi z nich były gatunki *Margaritanus bisulcatus* i *Nodotianus bivivus*. Niemniej osobliwej budowy były mięczaki głowonogie *Belemnity*, podobne sepiom kałamarkom i żyjące już nie na powierzchni wód jak ammonity, lecz w ich głębiach.

Bélemnit równie jak kałamarka wydzielał z siebie płyn czarny jak atrament. Pochewkę belemnita, zawierającą jeszcze w sobie tę zeschłą ciecz, znalazł pewien uczony i narysował zaraz różne figury na papierze, ciesząc się jak dziecię, z posiadania atramentu sfabrykowanego może przed kilku milijonami lat.

Belemnity oolitu różnią się od lejasowych jak to sprawdzić można na gatunkach *acutus pistiliformis* i *sulcatus*. Wymienić też wypada mięczaka lejasowego olbrzymich wymiarów, *Plagiostroma giganteum*. Ryby z tego peryjodu cechują się twardą i połyskowną łuską, a niekiedy niepospolitą wielkością, czego przykładem ryba kostołuska *Lepidotus gigas*.

W żadnym okresie historyi ziemi, płazy nie odegrały tak wybitnej roli, jak w epoce jurasowej. Do najpotworniejszych ich reprezentantów należą: *Ichthyosaurus*, *Plesiosaurus* i *Pterodactylus*.

Ustrój Ichthyosaura był niepospolicie dziwotwornym, posiadał on głowę jaszczurki, paszczę delfina, zęby krokodyla, kręgi ryby, kość piersiową kaczonosa i płetwy wieloryba. Było to zwierzę wyłącznie morskie, na pobrzeżach cielsko jego leżało bezwładne, jak masa nieczuła. Potwór nieznajdując się w wodzie tracił żywioł.

Podobnie jak wieloryby ichtyosaurus wziewał powietrze przez nozdrza, co zniewalało go do podnoszenia głowy nad powierzchnię wód—opatrzony był też prawdopodobnie *pryskawkami*, przez które w danym razie wyrzucał w powietrze słupy pochłoniętej wody.

Wzrost tego olbrzyma dochodził 35 stóp polskich, w paszczy mieściło się sto ośmdziesiąt straszliwych zębów. Przyroda nie poprzestając na tem groźnem uzbrojeniu swego oblubieńca, obdarzyła go jeszcze własnością odrostu zębów.— W rzeczy samej, gdy stare się zużyły, występywały nowe, gdyż przy nasadzie każdego zęba, przysposobionym był materyjał kostny do wytworu nowego. Oczy ichtyosaura przedstawiały doskonały a zarazem imponujący przyrząd optyczny. Wyobraźmy sobie gałkę oczną wielkości głowy ludzkiej, i blaszki kostne otaczające do koła tę potwornej wielkości źrenicę, a będziemy mieć obraz straszliwych oczu owego jaszczura lejasowego. — Mógł on zbliżać ku sobie lub oddalać obrazy przedmiotów, gdyż przyrząd jego wzrokowy dowolnie stawał się teleskopem lub mikroskopem.—Gdy zwierz pozostawał w głębi wód, lub uderzały nań rozhukane fale w czasie burzy, blaszki kostne ochraniały jego organ oczny od zbytecznego ciśnienia powietrza i uszkodzenia.

d. c. n.

Dramat indyjski i jego związek z religiją.

PRZEZ

Edgara Quinet.

Chwilą iście dramatyczną, zarówno dla ludów jak dla jednostek, jest walka jaką poraz pierwszy rozważającswe wierzenia, staczają one na łonie Boga swych ojców, szarpane powątpiewaniem. Człowiek przedzierżga się w osobę tragiczną nie wprzód, aż wstąpi w ten bój z Przedwiecznym, gdyż pozostając uległym Mu biernie, utrzymuje jedność w swem wnętrzu. Przeciwnie, zrywając się do buntu, kładąc kres wątpliwościom przez tryumf sceptycyzmu, tworzą w sercu próżnią tak głęboką, że już ich nie stać na walkę, i z wzrostem (indyfyrentyzmu) obojętności, niknie żywioł dramatyczny. Żywioł ten krzewi się głównie w tej dobie pośredniej, gdy dusza nagle zbudzona ze snu ufności, rada zarazem ją odzyskać i stracić, pod wpływem sprzecznych chęci zadaje sobie pytania, bada się, rozdwaja na własną karm' i widowisko. Człowiek w tej chwili rzeczywiście staje się podwójnym. Otchłanie zaczynają pod nim huczeć, pieśń uwielbienia cichnie, z rozterek wewnętrznych ludzkiego serca wywiązują się krwawe dyjalogi sceniczne.

Ta to okoliczność wyjaśnia dwa fakty dotąd niezauważone: pierwszy, czemu tylko ludy posiadające filozofiją własną, na dramat się zdobyły, a powtóre dla czego oba te zjawiska ducha ludzkiego jednocześnie się zawsze spotykają. Skutkiem tej to jednoczesności narodzin tragicznego żywiołu w sercach i umysłach różnych narodów. Sofokles przychodzi na świat razem z Sokratesem, Szekspir żyje za czasów Bakona (Bacon), Kornel (Corneille) z Kartezyjuszem (Des Cartes) a Szyller (Schiller) z Kantem spotykają się. A prawo to najwidoczniejszem jest na Wschodzie, jeżeli się zważy w jak wysokim stopniu swoboda sztuki i filozofii przekształca wymagania religii. W dramacie indyjskim, monarchii blaski gaszą przewagę życiową kapłaństwa. Król tam występuje jako pan najwyższy, zabiegli o jego względy bramini składają mu dziesięciny, a co najcharakterystyczniejsza! błazen występujący stale w sztukach scenicznych Indyi, prawie zawsze ma godność kapłana Brahmy. Jakiż to odskok zasad w jednem słowie się zamyka: kapłan błaznem! Nie znając nawet chronologii, twierdziłbym śmiało, że od tej figury scenicznej, dalej jest do pojęć wedyjskich, jak od czasów Ludwika XIV do epoki Grzegorza VII Hildebranda.

Przedewszystkiem nastręcza się pytanie, jakiby rodzaj dramatu (widowiska scenicznego) mógł się pogodzić z panteizmem to jest wszystko bóstwem wschodniem? Zdaje się bowiem że skoro Bogiem jest wszystko to, co oczy widzą, uszy słyszą a nerwy czują i dotykają, musi nastąpić konieczna sprzeczność w przypuszczeniu, aby mogła wszcząć się sprzeczka albo li też rozmowa bóstwa z sobą samem. W gruncie przeto rzeczy, panteizm z zasady swej niedopuszcza akcyi dramatycznej. Jakiż bo węzeł tragiczny zaplątać się może w łonie tego bóstwa, wszędzie obecnego, w którem wszystko co jest porusza się i oddycha, i który sam w sobie jest jedną jedynie osobistością? Bóstwa indyjskie mogą się jak chcieć wcielać (awatary Wisznu), przyoblekać w wszelkie namiętności i nędze ludzkiego żywota, a jednak niema dla nas zajęcia w intrydze dramatu, który wikła się i rozwiązuje niby senne marzenie.

Nieubłaganą konsekwencyją systemu wschodniego jest odwieczny monolog Przedwiecznego Samotnika. Wieki mijają, kurtyna spada, co stworzone było znika, sztuka się kończy. Świat ten jest tylko dekoracyją teatralną, urojonem widowiskiem, które Najwyższy sam sobie wyprawia, a natura, wielka czarodziejka, która przed nasze oczy wszędzie wywołuje obrazy bez podstawy rzeczywistej, która budzi i gasi kolejno pory roku, światło i życie jedyną jest, do takiej religii odpowiednią, spółaktorką tragiczną.

Tu tkwi źródło form scenicznych dramatu indyjskiego. Czas i przestrzeń nie wchodzą w rachunek na teatrze panteistycznym, a w skutek tego, scena zostaje nieujętą w żadne szranki, jej widnokrąg niczem nie jest ściśnionym. Obszar wszech-świata orzeka jedność miejsca, komedyja boska, zaczęta na ziemi, oczywiście się skończy śród bogów, i w jednej i tej samej sztuce podwójny dramat rozgrywa się między ludźmi i między bogami.

Z tej samej zasady wynika i to, że osoby dramatu zamiast zostawiać na scenie wyraźny ślad swych kroków, będą ją zaledwie dotykać, niby widziadła poezyi. Łagodność praw religijnych zapanowawszy na scenie, wygania stamtąd okropności krwi rozlewów; nie wolno dramaturgom indyjskim umarzać bohatera, lecz każda sztuka powinna kończyć się szczęśliwie. W chwili gdy będzie się zdawać, że dramatyczna bajka zupełnie opanowała swe osoby, i najściślej je wplotła w akcyją, one naraz wskakują na wozy bogów, i uwiezione w krainy odwiecznego spokoju, usuną się z padołu rzeczywistości i niedoli.

Cośmy dotąd powiedzieli, wystarczy do okazania, że niema żadnego podobieństwa między dramatem indyjskim a greckim, gdy tymczasem z drugiej strony, uderzające analogije przedstawia pierwszy z dramatami czarodziejskiemi Kalderona i Szekspira. Podobieństwo to rażąco się wzmaga przez wspólny im zwyczaj splatania rzeczy poważnych i wesołych, i łączenia poezyi najwznioślejszej z ironiją najdotkliwszą. Królowie, przemawiający językiem bohaterskim dawnych epopej, toczą gawędy z błaznami swemi, którzy w pewnym względzie są królami chłopskiego, zdrowego rozumu, pospolitości i prozy życia, gdy królowie sami dzierżą berło w krainach wyobraźni rycerskości, poezyi. Rzecby można niemal, że błazen indyjskich dramatów jest przeczutym typem ducha zachodu, tyle w nim umiejętności szydzenia na nowoczesny sposób z egzaltacyi i nadętości wschodniej.

W słynnej sztuce *Wikrama* i *Urwasi*, kró[l] maluje swą ulubioną, barwami wspaniałemi których koloryt niekiedy przypomina semick[i] polot *Pieśni nad Pieśniami*. Błazen króla, grający rolę chłopskiego rozumu, przerywa mu uniesienie zjadliwą uwagą: „Miłościwy Panie,

wiatr południowy dmie ku tobie z uległością prawdziwego dworzanina.

„*Król.* Gdy igra z pachnącemi pączkami rośliny madhavi, i gdy powiewa wśród kwiatów jaśminu, szerząc ciepło i słodkie upojenie miłości, odnajduję w nim obraz tego, co w mem sercu się dzieje.“

„*Błazen.* Jedyne podobieństwo jakie upatruję między wami polega na tem, że niewzruszenie wierny jesteś obu.“

Inną razą, z tej poezyi widać już dobywające się arystofanesowskie żądło szyderstwa i z bogów.

Król. „Witaj, gwiazdo nocna, której blady promień wieńczy — poważnie koronę Mahadewy“ (wielkiego boga Szywy).

Błazen. „Poprzestań na tym królu. Twój dziadek król niebios, bez którego my bramini nic począć nie możemy, usiąść ci rozkazuje, aby mógł sam także spocząć.“

Nie sąż to próbki wiekuistego rozhoworu uniesienia i rozsądku, poezyi i prozy, Sokratesa i jego ucznia w *Chmurach* (komedyi Arystofanesa) don Quichota i jego giermka (w powieści Cerwantesa)? Snać wschód nie zawsze sam sobą się upajał, nie zawsze żył w rozmyślaniu i ekstazie; znaną mu była ironija, której wynalazek nowożytni sobie przypisywali, a Arystofanes ubóstwił. Wśród zapachów tej poezyi, które rozchodzą się niby wyziewy czarodziejskiego jakiego kwiatu, czuć jest cierń ukryty pod mchem i rosą.

Dramat indyjski niepowstał jak grecki z ody, to też akcyi w nim nie przerywa dytyramb. Natchnienie liryczne, niestanowiąc wyłącznego przywileju chórów jak w Grecyi, przenika cały dramat indyjski. Obok tego jednak, natęża się z pewnem prawdopodobieństwem w kilku monologach, i wybucha prawdziwemi hymnami, które przypominają chóry *Edypa w Kollonie*, przewyższając je bogactwem treści różnorodnej.

W *Sakuntali* *) naprzykład, młody kapłan zaczyna akt następnym opisem cudów nocy na Wschodzie.

„Bramin wróciwszy ze swojej pielgrzymki, wysłał mnie śledzić biegu godzin nocy. Tu miesiąc się kładnie w swe łoże jesienne, płonące szkarłatem kwiecia nocnego; tam słońce bieg swój zaczyna, siedząc za Aruną woźnicą swego woza. Blask ich zawsze podobien, czy to się wznoszą, czy opadają, i człowiek jak one, winien być bez zmiany w szczęściu i niedoli. Teraz miesiąc już zniknął; kwiat nocy już zagasł; już tylko zostało wspomnienie jego woni; pochyla on głowę, jak młoda oblubienica, która cierpi niewypowiedzianie w nieobecności małżonka. Ranek skrzy się; czerwieni swą purpurą rosę na gałęziach jujuby; paw' otrząsa swe skrzydła, pośpiesza do chat pustelniczych, które otacza murawa poświęcona; i oto antylopa wybiega z miejsca gdzie ofiary składają i wyciąga zgrabne swe członki. Jak miesiąc z nieba obniżony rzuca słabe promienie! oparł się nogą na gór grzbiecie i rozpędzając stado ciemności, zstępuje do bóstwa pałaców. Tak, po bezmiernych wysiłkach, wielcy tej ziemi wznoszą się do szczytu swej pychy; tak, w kilka chwil, spadają złamani.“

Takie to śpiewy, niby słupy dyjamentowe, stanowią cechy podziałowe dramatu indyjskiego.

d. c. n.

*) Jest ten dramat po polsku wydany przez St. I. Grabowskiego w Warszawie 1861 (przyp. tłomacza).

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

— A jakżeście się przekonali że Indyjanie gonili za nim?

Ślady młodzieńcze... ślady!

— Czyż taką rzecz poznać można?

— Tak łatwo jak wypić szklankę wina, mój panie—tropy konia białego są pierwsze.

Nie marudząc dłużej zawierzyliśmy zupełnie strzelcom i pod ich przewodnictwem puściliśmy się naprzód...

Ujechawszy milę zauważyliśmy że ślady konia porozrucane dotąd bezładnie układały się w jakiś system, jak gdyby Indyjanie lecieli odtąd nie jeden za drugim według zwykłej ich metody, ale po kilku razem.

Wtedy strzelcy zatrzymali się a zrobiwszy ze sto kroków po tym nowym tropie zeskoczyli z koni, pokładli się na ziemi i nowe zaczęli rozpatrywanie.

My wszyscy zatrzymaliśmy się o kilka kroków po za niemi obserwując ich manewra a nie śmiejąc im przeszkodzić. Widzieliśmy tylko że wydmuchują popiół ze śladów na całej szerokości...

W parę minut zdołali oczyścić przestrzeń na kilka stóp tak, iż można było odróżnić i śledzić znaki kopyt jedne przy drugich, albo lepiej jedne pod drugiemi.

Rube powrócił wtedy do miejsca z którego rozpoczął operacyją a posunąwszy się jeszcze dalej wolniutko na kolanach, z oczami wlepionemi w ziemię zdawał się obserwować każdy trop z osobna.

Nagle za nim przybył do miejsca w którem Garey zajęty był oczyszczaniem popiołu, podniósł się i zaczął wołać do swojego towarzysza.

— Ehe! Billu nie łam sobie darmo głowy, jak przypuszczałem, złapali szelmy go na swój sznurek szatański.

ROZDZIAŁ LXVII.

Arkan.

Byłem na w pół na tę wiadomość przygotowany, lubo nie tak biegły w sztuce w której moi przyjaciele strzelcy niezrównanymi byli mistrzami.

I ja jak oni spostrzegłem był zbiegające się nagle ślady, i ja jak oni zauważyłem jak się te ślady pomieszały następnie, jak konie odtąd leciały razem wolno i zgodnie. To było dostatecznem do przekonania się iż biały rumak został schwytany...

— Z pewnością że tak jest, przytwierdzał Rube w odpowiedzi na moje zapytanie — z pewnością i to największą. Oto są znaki widoczne jak słońce śród południa... Tutaj zarzucili mu arkan, tutaj go otoczyli gdy był prawie w samym środku stada. Tak... tak... to tutaj stało się koniecznie...

Chwytających było dwudziestu a może i więcej nawet, a jeżeli się nie mylę nie był to bynajmniej cały oddział rabusiów... Niektórzy tylko pędzili za białym żeby go złapać na arkan. Stawiam mój karabin przeciw głupiej strzelbie meksykańskiej, że się tu gdzieś niedaleko znajduje liczniejszy oddział tych dzikich..

To przypuszczenie, na które i ja wpadałem nie było już prostem przypuszczeniem, potwierdziły je znaki wypisane na śladzie i odtąd był to już fakt pewny, nie ulegający żadnej wątpliwości... Koń biały i Isolina stali się łupem Indyjanów.

Ta nowina obudziła we mnie całkiem nowe myśli, w których najróżnorodniejsze uczucia mieszały się razem. Pierwsze było uczucie radości. W rzeczy samej koń był zatrzymany przez ludzi. Indyjanie są ludźmi i posiadają serca zdolne do litości. Chociaż z bladej twarzy młodej nieszczęśliwej dziewczyny poznają rysy swoich nieprzyjaciół, ale że to kobieta, nie będą mieli przyczyny źle się z nią obchodzić...

Zupełnie może inne uczucie obudzi się w nich na widok opłakanego stanu w jakim się znajduje. Zobaczą w niej ofiarę okropnej zemsty własnych swoich nieprzyjaciół a to prawdopodobnie natchnie ich sympatyją i współczuciem. Oswobodzą nieszczęśliwą, dadzą jej co potrzeba, opatrzą rany i najłagodniej się z nią obejdą.

Był to przecież słaby tylko promyk przelotnej nadziei i następne rozmyślania gorzko mnie zmartwiły.

Nie mogłem nie pomyśleć o dzikim charakterze tych, w których ręce wpadła Isolina. Jeżeli to ta sama barwa co zrabowała pograniczne miasto o którem mówiliśmy, dowód iż mamy do czynienia z Indyjami południowemi *Komanszami* albo Lipansami. To prawda że inni jak *Shawanos i Delawares* w połączeniu *z Kiekapoux i Chérokées* z Teksas posuwali czasami swoje wycieczki aż do brzegów rzeki Grandu ale... w następstwie długiego handlu z białemi te ostatnie plemiona już się ucywilizowały poniekąd a ich dziedziczna nienawiść do twarzy bladych zniknęła. Rabunek i zbrodnia należą już do ich tradycyi, nie im to można nie było przypisać ostatnią wyprawę która może była czynem „Dzikiego kota“ i Seminoles osiadłych na granicy Teksas, chociaż podobna gwałtowność przypadała lepiej do charakterów Apaszów... W takim razie niewielka była różnica. Apaszowie nie są niczem innem jak Komanszami albo raczej Komanszowie nie są niczem innem jak Apaszesami i jeżeli Indyjanie na śladzie których znajdowaliśmy się obe-

cnie, należeli do tego lub owego plemienia, mało nas to obchodziło zupełnie. Na jakimkolwiek plemieniu zatrzymałem myśli moje: jednakowo przykremi były. Oceniłem doskonale charakter czerwono-skórych południowych, tak mało podobnych do swoich braci północnych, tak oddalonych od tego typu idealnego spokoju i umiarkowania jaki poetom i romantykom podobało się im przypisać. W myśli mojej zarysowały się żywo wspomnienia rozmaitych scen okropnych, o jakich słyszałem opowiadania i które niekoniecznie dobrze usposabiały względem tych panów stepów południowych.

W skutku tego wszystkiego nie było co innego do czynienia jak tylko postępować na przód — tak też uczyniłem. Mieliśmy zresztą inną jeszcze przyczynę do pośpiechu, byliśmy wszyscy okrutnie męczeni pragnieniem, trzeba więc było postępować tak prędko, jak tylko nastarczyć mogły zmęczone nasze konie...

Na koniec oczom naszym ukazał się las ze swoją zielonością, która nam wydała daleko świeższą i przyjemniejszą w obec czarnego stepu jaki doń dotykał... Był to kląb drzew bawełnianych otaczający strumień, po za który ogień nie przeszedł.

Ludzie a nawet konie jeżeli tak się można wyrazić wydali okrzyki radości gdy ich oczy dojrzały wodę.

Jezdzcy puścili się galopem ku brzegowi, zeskoczyli z koni i zanurzyli się w wodę po szyję nie zwracając uwagi na żadne niebezpieczeństwo. Jedni czerpali w dłonie, inni niecierpliwsi pili na sposób koni.

Strzelcy postępowali z większą ostrożnością od reszty oddziału. Nim uszli na brzeg obadwaj przez instynktowną roztropność rzucili okiem wzdłuż brzegów strumienia i w stronę lasu.

Tuż przy miejscu w któremeśmy się zatrzymali, zauważyłem rodzaj przejścia, gdzie liczne ślady zwierzęce rysowały na gruncie drogę dobrze ubitą. Rube patrzył się na tę drogę, a oczy jego niezwykłym zaiskrzyły się blaskiem.

— A co czy wam nie mówiłem! zawołał po krótkiej chwili. Oto są jeszcze ich ślady... oto trop wojenny! Niech że nas Bóg uchowa!

ROZDZIAŁ LXVIII.

Indyjanie.

Od pięćdziesięciu lat, ale—co ja mówię? z górą trzech wieków czyli od chwili podbicia, granica północna Meksyku była zawsze w stanie niepokoju. Jeżeli Aztezy na pół cywilizowani i Indyjanie przyzwyczajeni już do życia miejskiego, poddali się łatwo Hiszpanom, nie tak było z plemionami dzikiemi i wolnemi strzelcami. Na ogromnych stepach które zajmują całą środkową przestrzeń Ameryki Północnej zamieszkują plemiona indyjskie, które by można nazwać narodami i którzy nie znają i nie znali nigdy żadnego panowania nad sobą oprócz swoich własnych wodzów. Nawet w czasie swojej największej tu władzy, Hiszpania musiała wyrzec się podbicia dzielnych Indyjan pogranicznych, którzy do dziś dnia zachowali swoją dziką niepodległość.

Nie mówię o wielkich plemionach stepów północnych Sioux i Cheyennes Czarnych-Nóg i Kroków, Arapahous i Pawicus. Rasa hiszpańska nie zetknęła się z niemi nigdy. To co mówię odnosi się głównie do plemion których wycieczki pustoszą granice Meksyku, odnosi się głównie do Kamanszów, Lepansów, Utaksów, Apaszów i Navajosów.

Nie ma śladu w dziejach hiszpańskich iżby narody te znosiły kiedy jarzmo niewoli— nie ma śladu aby misyje oddziaływały na nie skutecznie... Indyjanie więc stepowi wolni są od władzy białych, wolni są i niepodlegli.

Ale jeżeli zdołali zabezpieczyć tę wolność przez lat z górą trzysta, to też przez cały długi ten okres, nie znali nigdy pokoju.

Pomiędzy czerwonym Indyjaninem i następcą białym, starożytnych Iberów na całej długości granicy meksykańskiej, wojna nie ustawała na chwilę od Fernanda Corteza, aż do tych czasów o których piszemy.

Na północnej granicy wałęsają się dzicy Indyjanie, na południu, zamieszkują ich bracia zawojowani i ulegli. Indyjanie spokojni są nie pod szałasami, ale w miastach zwyciężonych hiszpańskich. Pierwsi wolni jak wiatr stepowy, drudzy poddani warunkom i znoszący rzeczywiście kajdany równie ciężkie, jakby prawdziwej niewoli.

Pomiędzy temi dwoma plemionami rozciąga się pas ziemi neutralny, terytoryjum nieprzyjacielskie, bronione z jednej strony liniją fortów, każdy ze swoim garnizonem, *les presidios* — a z drugiej, zabezpieczone przeciwko napadom nieprzyjacielskim, przez nieurodzajną dziką pustynię.

Od niedawna zaszła widoczna zmiana w stosunku Indyjan do kolonistów hiszpańskich. Czerwono-skóry wkroczyli na terytoryjum białych, dzicy zabrali grunta zamieszkałe przez cywilizacyje, nie po trochu, stopniowo ale olbrzymiemi krokami, przez podbijanie całych prowincyj. Z upadkiem panowania hiszpańskiego w Meksyku, znikła wyższość rasy hiszpańskiej nad Indyjaninami. W skutek tej zmiany, *les presidios*, zostały opuszczone i nie robili żadnych przeszkód i napadów. Faktem jest, że nie egzystuje już przestrzeń neutralna, wszystkie prowincyje z tej strony Senora Chihuahua, Tamaulipas, Cinaloa i Leon nie są niczem więcej jak neutralną pustynią, albo raczej tworzą dzisiaj rozległe terytoryjum podbite i zniszczone przez Indyjan. Co gorzej jeszcze, włóczęgi o kolorowej skórze odtąd rozciągają spustoszenia po za granicą do prowincyj środkowych, aż pod same prawie bramy Durango.

Przypuszczają, że w tej chwili trzy tysiące białych znajduje się w rękach Indyjan z północy Meksyku, i że prawie wszyscy ci niewolnicy są z rasy hiszpańskiej. Są to po większej części kobiety, które żyją jako niewolnice, żony swoich zaborców, jeżeli podobnym związkom można nadać tytuł małżeństwa! Spotyka się także u Indyjan mężczyzn białych, zabranych w młodości i co może się dziwnem zdawać, że większość tych biednych ludzi, mężczyzn i kobiet, niema najmniejszej ochoty powracać do pierwotnego życia, lub zobaczyć swoją rodzinę. Kilku, za których wykup został zapłacony, nieprzyjęli tego dobrodziejstwa.

Można często widzieć na granicy rozdzierający widok ojca, który odnalazłszy swoje dziecko nie może obudzić w nim naturalnego przywiązania.

W parę lat, czasem nawet w parę miesięcy, jeńcy zapominają zwyczajów młodocianego wieku i znajdują upodobanie w nowem swem położeniu.

Nie dawno sam miałem sposobność widzieć przykład podobnego dziwactwa. Dziki raniony i ujęty podczas utarczki przy skale, miał w żyłach krew zupełnie meksykańską.

Kilka lat przedtem Komansze zabrali go z południowej osady Rio-Grandu. Uwzględniając to, daliśmy mu wolność, myśląc że z radością skorzysta z tej okazyi, i powróci do swoich rodziców; lecz ten nie miał już w sobie uczuć rodzinnych.

I tej samej nocy kiedyśmy go obdarowali wolnością, puścił się na stepy, zabrawszy jednego z najlepszych koni naszego oddziału, poprostu skradłszy go nieszczęśliwemu właścicielowi!..

Tak stoją sprawy Meksyku na Rio-brawo-del Norte.

Z kraju Indyjskiego do Meksykańskiego, rozciąga się wielka liczba dróg, które mają po setki mil z jednego punktu do drugiego.—Idą z biegiem rzek, albo przerzynają rozległe, puste równiny, gdzie woda rzadko się napotyka. Te przejścia są wskazane śladami mułów, koni i niewolników. Gdzie niegdzie napotkać można zbielałe kości mężczyzn, kobiet albo zwierząt, którzy poginęli w drodze. Prawdziwie szczególne są te drogi.

To są szlaki Komanszów, i *Caygua*, drogi otwarte dla ich wojowników podczas „miesiąca meksykańskiego“. Na jedno z takich przejść strzelec zwrócone miał oczy kiedy zawołał, jakieśmy to powiedzieli, tonem poważnym i pełnym obawy.

„Ślad wojenny niech nas Bóg zachowa!“

ROZDZIAŁ LXIX.

Na śladzie wojennym.

Zaspokoiwszy pragnienie, kazałem mojemu koniowi przejść rzekę i zacząłem się przypatrywać przeciwnemu brzegowi.

Moi wierni służalcy byli przy moim boku. Nie było niebezpieczeństwa, przed którem by się cofnęli.

Pozyskałem serca tych ludzi i nie wątpiłem już, że zaryzykują życie na moje usługi, bo się już nie raz narażali. Czułem prawdziwą przyjaźń dla tego silnego i odważnego Gareya, pięknego w całem znaczeniu słowa, obdarzonego szlachetnem sercem które mi okazywał.

Co do starego towarzysza uczucie jakie miałem dla niego, było tak jak on sam, trudne do zdefiniowania i wyrażenia. Mięszała się tu spora doza tego podziwu, która się odnosi raczej do zdolności intelektualnych, niż do przymiotów moralnych albo fizycznych człowieka.

Zamiast intelektualnych, lepiej można powiedzieć instynktownych, bo jego spryt zdawał się raczej instynktownym, aniżeli rozumowania.

Widziałem także, że stary strzelec podziwiał mnie, że nawet był dla mnie z przyjaźnią. Był również oddany mojej usłudze jak Garej, ale w jego oczach słabością było wydawać się ze swą gorliwością, to też starał się nie okazywać jej. Jego upodobanie do mnie pochodziło może stąd, że ja spuszczałem, nie przeszkadzałem mu, ani rywalizowałem z nim w jego znajomości stepu. Byłem tylko jego uczniem i poprzestawałem na jego sądzie.

d. c. n.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

III.

MALARSTWO.

— Słońce, owo złotodajne źródło życia, owa kolebka barw, nieśmiertelny mistrz cudownych rzutów światła i cieni, niedościgniony ideał artystów, którzy pragną choć jeden z jego promyków prometeuszowskim genijuszem uchwycić,—słońce, wpadające przez szczelinę zazdrostek do tej niefortunnej galeryi—zwaną Wystawą Towarzystwa Zachęty S. P., — wypłatało mimowolnie figla panu *Aywazowskiemu*, profesorowi Petersburgskiej Akademii.

Kto widział jego „dziewiątą falę“ (dziewiątyj wał)—jego „stado baranów zagnane burzą w morze“ musiał uchylić czoła, przed tym pierwszorzędnym europejskim malarzem morza.

Sława go wyprzedziła — a pojawienie się na naszej wystawie „Wyspy Capri,“ tego artysty, powitała publiczność z entuzyjazmem.

Zawistny Feb jednak nie cierpi—ażeby prości śmiertelnicy jozuowem słowem krępowali jego i niedościgniony bieg po obszarach wszechświata.

I gdy p. Aywazowski rozkazał mu kąpać się w seledynowem morzu, poza wyspą Capri, wypuścił jedną strzałę wprost na ten piękny obraz artysty—i słońce malowane stało się, obok prawdziwego—tylko żółtą plamą na lazurowem niebie.

A jednak, gdyby nie ten figiel, często zdazdarzający się w galeryi mającej fatalne światło, figiel, który nam popsuł całe wrażenie, jakie obiecywaliśmy sobie wynieść po zobaczeniu Aywazowskiego, musielibyśmy sobie podziwiać te umiejętne stopniowanie tonów, tę grę światła, tę szaloną zuchwałość, z jaką artysta pokonywa trudności—nie do pokonania prawie.

Jak tam fale drgają w tym gorącym zachodzie—co za powietrze! Morze zlewa się na firmamencie z niebem—słońce ostatniemi pocałunkami rozognia falujące łono wód.

Nietylko że pejzaż ten przerywa jednostajność naszych krajobrazów na Wystawie— traktując obcy nam przedmiot, robi przytem przyjemne wrażenie, usposabiając duszę do marzeń. Ten ocean światła zlewający się z oceanem wód jak symbolem nieskończoności—wśród której niknie prawie człowiek, pomimo że artysta umieścił go na pierwszym planie w bujającej się po modrych falach szalupie.

. . . Świta.

Zmęczone koniska, ledwie dowlokły się do pocztowej stacyi w małem miasteczku.

Oddychamy. Oglądamy się czy mamy wszystkie kości całe i zęby w miejscu. Wyboje na szosie dały nam się we znaki.

Pocztylijon uchyla czapkę. Masz bracie tryngeld i Bóg z tobą. Nowi podróżni zajmują nasze miejsca. Winszujemy im. Pejsaty mieszkaniec miasteczka, ranny ptaszek kurzy niezbyt woniejącą fajeczkę i oblicza zyski zaczynającego się dnia. W domku rozpalono ognisko.

— Może dostaniemy herbaty — bo ranek chłodny— ach...! jakżeśmy zmęczeni. Usiadamy—oto krzesełko—nie bredź pan— jesteśmy przecie na wystawie.— Więc śniła mi się lubelska szosa?. Ależ nie śniła się —to tylko obraz p. Alfreda Kowalskiego „Stacyja pocztowa“

Taki to obraz. Lecz ileż prawdy; jaka charakterystyka figur; co za powietrze; jakież tu życie, jaka harmonija linij. Nie ma tu szerżowania — nie silił się artysta na efekta kolorytu — lecz wiedział, odczuł i odtworzył naturę w całej jej prawdzie— z całym realizmem. P. Kowalski nie ma wprawdzie jeszcze tego wyszukanego rysunku, którym odznacza się dwurzędna francuska szkoła; nie silił się na malowanie oryginalnych typów—sceny jego nie trapiują na pierwszy rzut oka— nie są nawet głęboko obmyślane — lecz każda jest prawdziwą, naturalną— zręcznie uchwyconą, smacznie malowaną. A co najwięcej — w każdej nowej pracy znać postęp. Artysta to o dużych zasobach i dużej przyszłości.

Wolelibyśmy na dziś zamilczeć o sporem płótnie p. *Chełmońskiego*, wyobrażającem „dziewczynę na łąkach“. Wyraźnie na łąkach nie „na łące“ —zapewne z tej przyczyny, że na jednej łące trudno by wymalować tyle żółtych kwiatów, ile ich chciałby mieć p. Ch., żeby do reszty zażółcić swój wielki choć zielony jeszcze talent.

Naprzód na Ukrainie, gdzie zapewne te łąki się znajdują, kwiaty takie pielęgnują dziewczęta w ogrodach, tak samo jak u nas, a na łąkach one i w takiej ilości nie rosną. Powtóre— powtóre nic nie powiemy, by nas nie posądzono o stronność, lub jakąś nieusprawiedliwioną niechęć.

Żałujemy tylko szczerze, że p. Ch. wszedł na bezdroża i zmarnować może duży talent. Przypuszczamy jednak (bo i historyja sztuki nieraz świadkiem takich wypadków była), że po jakimś czasie, nastąpi pewien przełom w ideach artysty — i p. Ch. zajmie jedno z niepoślednich miejsc pomiędzy artystami krajowemi.

Czy „Pogrzeb samobójcy“ pana *Chmielewskiego* ma być wyrazem właśnie tego realizmu w sztuce, który zdajemy się popierać— i który jest rzeczywiście najlepszą metodą odtwarzania uplastyczniania natury— tak jak w nauce indukcyjna tylko metoda i empiryczne spostrzeżenia są jedyną drogą, prowadzącą do celu?

O tem nietylko wątpimy — lecz stanowczo protestujemy przeciw takiemu pojmowaniu sztuki. Obraz ten sprawia gorsze wrażenie niż najrealniejsze fotografije.

I jeżeli p. *Kowalskiego Alfredą* „Stacyję pocztową“, uważamy za jeden z najlepszych rodzajowych obrazów, będących obecnie na wystawie — i jeżeli p. Kowalski jest realistą a jest nim bez zaprzeczenia, to sami czytelnicy łatwo zrozumieją, porównawszy dwa te obrazy, czy realizm jaki wyznajemy, ma co wspólnego z fotografiją.— P. Chmielewski w obrazie „Pogrzeb samobójcy“ przedstawia się nie reklitą nie fotografem natury, lecz grubym materyjalistą—gorzej jeszcze niedouczonym pozytywistą warszawskim. Fotograf mając sobie polecone podobne zdjęcie z natury, jeszcze starałby się wyzyskać sytuacyje, obrać najkorzystniejszą pozycyję— i utrzymać jaki taki światłocią̨g.

P. Ch. zaś, rysuje konia okrytego całunem, w takiej pozie, że niepodobna przypuścić ażeby to był koń—niebo maluje jako kawał rozdartej płachty— i zdaje mu się, że kilku połamanemi nieprawdopodobnie linijami, kilku rażąco kontrastowemi płaszczyznami—czarnemi plastrami katafalka i konia na białoszarym murze i niebie—osiąga właśnie ten efekt, wrażenie, o które idzie artyście—którego szukamy w dziele sztuki. Gruby to błąd, śliska to droga—i wielka odpowiedzialność! Niech o tem nie zapomina p. Chełmoński, który pozując na założyciela nowej szkoły, wytwarza zgubne i niedołężne naśladownictwo.

Jeżeli wracamy się w tej chwili do p. Chełmońskiego, to dla tego, że uderza nas obraz znów innego młodego artysty, który pierwszy raz debiutuje na naszej Wystawie, i który zdaje nam się ulega bardzo wpływowi p. Chełmońskiego.

Jest to „Orka“ p. *Stanisława Witkiewicza.*

Orka na którą spotrzebowano dużo płótna, dużo farb—a szkoda— bo dała by się uskutecznić na malutkim obrazku, w którym nie wystąpiłyby tak rażąco błędy rysunkowe np. w tym wydętym i spuchniętym koniu. Niechcemy jednak na pierwszy raz zniechęcać artysty, który widocznie ma dużo poczucia i bez zaprzeczenia talentu, radzimy mu tylko pilnie studyjować naturę i tylko naturę — nie zaś manijerę p. Chełmońskiego.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Gracz dramat w 5-ciu aktach (8-miu obrazach) z niemieckiego, Ifflanda, przełożył Wł. L. Anczyc.

Przebudzona z epidemicznej ospałości reżyseryja teatrów naszych, wystawiła w zeszły wtorek nieszczęśliwie wybraną produkcyją sceniczną. Nie chcąc snać poszukać staranniej w skarbnicy nowych a prawdziwie doniosłych utworów, zajrzała do starej kuchni wytwórczości niemieckiej z owego czasu, kiedy to sentymentalne moralizatorstwo i sztuczność nienaturalnych efektów, najlepiej przemawiały do duszy synów Germańskiej ziemi. Do rzę-

du autorów, którzy najbardziej hołdowali tej manijerze, należy bez zaprzeczenia Iffland. Co więcej, przewyższył on nawet w tym względzie innych, tak, że współcześni krytycy robili mu z tej przyczyny słuszne zarzuty. Przed czterdziestu przeszło laty, nasi sprawodawcy niezbyt pochlebne również o powyższym utworze tego autora dali wzmianki. Co pobudziło reżyseryją naszę do odgrzania prawdziwie niesmacznej potrawy artystycznej? Odpowiedź na to pozostanie na zawsze tajemnicą jej polityki.

Publiczność, aczkolwiek dosyć liczna, bo zwabiona mniemaną nowością, wysłuchała bez zapału, nudnych aczkolwiek efektownych scen dramatu.

Ale przystąpmy do treści!...

Szlachetny w gruncie Fryderyk baron Wallenfeld wydziedziczony przez dumnego stryja za to, że odrzuciwszy świetną partyję wbrew jego woli poślubił kobietę, która nie należała do pierwszorzędnych rodzin, — spada po śliskiej drodze w przepaść występku. Fatalna namiętność do gry porywa słabego młodziana. Zatrzymuje się on jednakże na brzegu przepaści. Lecz okrutna dłoń niecnego szulera z profesyi—Poserta, uwikławszy go w fatalne sidła, popycha na samo dno występku. Fryderykowi zagraża hańba i nędza. Lecz upadek moralny, który ma od niej ochronić, przedstawia się w tak ohydnej formie, że sama myśl o nim winna wzbudzić szlachetną iskrę, tlącą w duszy młodziana. W tak wstrętnej kałuży występku nie może już zabłysnąć żadne, choćby najsłabsze światełko uczciwości. Tymczasem autor nie zdarł z czoła młodziana aureoli szlachetniejszych uczuć, i z dziwnie dwulicowem obliczem każe mu pełzać w nizinach największej podłości. Kupler niecnego szulera, narzędzie tylu zbrodni, strącających coraz nowe ofiary w przepaść rozpaczy i występku, czyż może pozostać z niezatartem na czole znamieniem cnoty i uczciwości?..

Stworzywszy jednakże tego rodzaju karykaturę duchową, należało wyprowadzić ją wreszcie na światło odrodzenia. Wymagała tego moralna tendencyjność utworu. Następuje więc odrodzenie, ale w jakżeż dziwacznej formie. Ofiara nie dźwiga się sama. Zjawia się interwencyja niespodziewanego zbawcy, który odbywszy z winowającą pewną gimnastykę psychiczną, usuwa na bok niecnego demona i kreśli nad czołem Fryderyka znamię przebaczenia i odrodzenia. Następuje czuła scena serdecznych podziękowań, i cnota bierze górę.

Widzimy tu więc bardzo prostą operacyją artystyczną, na którą recepta jest nader łatwa. Bierze się pewną dozę cnoty i szlachetności, rzuca się ją w błoto występku, następnie podnosi, oczyszcza i pokazuje rozczulonym słuchaczom ku moralnemu ich zbudowaniu. I to ma być ideja tryumfu dobrego nad złem!...

Moralno-tendencyjna treść uwydatnia się w rozwlekłych i nudnych scenach, ubogich pomysłowością, sentymentalnych i nacechowanych kaznodziejskiem deklamatorstwem.

Niektóre przymioty tego utworu, a mianowicie znajomość warunków scenicznych i wybitna, aczkolwiek przesadna nieco charakterystyka, nie oczyszczają go z zapleśniałej zgnilizny. Typy tu, chociaż udatnie dosyć skreślone, lecz dla nas już zbyt anachroniczne i nienaturalne. Sztuczna efektowność nie sprawia na widzach żadnego prawie wrażenia. Nie myślimy tu rozpatrywać bliżej tej produkcyi, gdyż szczegółowe wykazywanie wad i nienaturalności, jakie na każdym kroku w niej napotykamy, zbyt wieleby nam zajęło czasu.

Dziwimy się zaiste p. Anczycowi, że zmarnował czas nad przyswojeniem literaturze naszej tego utworu. Szkoda sumiennej pracy i zdolności tłomacza.

Artyści, o ile mogli, ratowali sztukę. Wytwarzając charakterystyczne typy, nadali im wiele werwy i życia, lecz niezdołali uratować od anachronizmu i nienaturalności.

P. Rapacki w roli dumnego radcy Wallenfelda, stworzył typ nader wybitny i oryginalny. Bardziej wybitne szczegóły w grze tego artysty zostały tak wycieniowane, iż podnosiły o wiele efekt całości.

F. Tatarkiewicz J. ratował, o ile mógł, chorobliwą postać gracza. W kilku jednakże scenach, modulacyja głosu nie była należycie wykończona.

Pani Rakiewiczowa w niewdzięcznej roli czułej, szlachetnej żony i matki nie mogła wykazać należycie wielkich zasobów swego talentu; kilka jednakże scen wydatniejszych wykonała z prawdziwym artyzmem.

P. Leszczyński w roli Poserta wykazał wielką zdolność do ról charakterystycznych, którą już w innych kreacyjach mogliśmy poznać i ocenić. Zbyteczne jednakże zniżenie głosu nie dozwoliło dalej siedzącej publiczności, nie tylko śledzić grę artysty, lecz nawet dosłyszeć słów które niekiedy z ust jego wychodziły.

P. Grzywiński, Stolpe i *Chomiński* wywiązali się należycie z ról swoich.

A. Pilecki.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Pedagogika obejmująca zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dziatek. Ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego wyłożył August Jeske. Warszawa. Nakładem księgarni S. Arcta w Lublinie. 1875 r. str. 352 in 8-o. (Cena w oprawie rs. 1 kop. 50).

Mamy przed sobą świeżo wydaną książkę, pracę jednego z najdzielniejszych dziś działaczy na tak zaniedbanej u nas niedawnemi czasy niwie wychowania. W dalszym ciągu swej cennej i pożytecznej pracy nad systematycznym kursem nauk przeznaczonym dla domowego wychowania, p. Jeske podaje obecnie do rąk ogółu dzieło, zawierające całość teoryi wychowawczej. Zaopatrzywszy rodziny w pierwsze niezbędne podręczniki do rozumnego kształcenia potomstwa, przedstawia im teraz skończony obraz wychowania; od szczegółów praktyki przechodzi do ogarniającej całość teoryi.

Trudno jest dość silnie wysłowić jak dalece na czasie jest ukazanie się u nas, odpowiedniej potrzebom, przystępnej dla ogółu Pedagogiki. Brak dotkliwy dzieła takiego czuć się dawał i niepowetowane straty pociągał za sobą. Wychowanie domowe pogrążone w nieładzie i zaniedbaniu, ludzie czujący nawet gorącej potrzebę przytoczenia całej siły do tej pracy, nieznajdują środków, i bezładnie błąkają się między postępowemi pojęciami, których ocenić dostatecznie i zastosować nieumieją — a luźnym trybem zwyczajowej rutyny. Cięższej jeszcze niż brak dobrych nauczycieli dolega nam niedostatek dzieł pedagogicznych, któreby rzucały światło, na tę najżywotniejszą kwestyję naszego społeczeństwa i wspierały dobre chęci matek i wychowawców. Prace dawniejszych pedagogów naszych w części zapomniane, w części niewystarczające, nowsze, pobieżne i niekompletne, obce — niebudzą zaufania. Czy dzieło p. Jeskiego zaradza ciężkiej potrzebie?

Po p. Jeske mieliśmy prawo spodziewać się tego, a przeczytawszy jego pracę, z prawdziwą wdzięcznością zwracamy się do niego za rzecz gruntownie i sumiennie opracowaną, trafiającą w istotne potrzeby nasze, a co więcej, na wskroś swojską, bo poczerpniętą z naszego ducha, z doświadczenia i rozwijającą zasady naszej rodzinnej pedagogiki, położone przez samodzielnych u nas na tem polu pracowników.

Za nim przystąpimy do streszczenia w ogólnych zarysach „Pedagogiki" p. Jeskiego i pozwolimy sobie uwag nad jej różnemi punktami, nie od rzeczy będzie zaznaczyć wiadomość nową zapewne dla wielu, że metoda indukcyjna, poglądowa w nauczaniu, którą p. Jeske rozpowszechnia, nie jest wcale nowością niemiecką. Pedagodzy nasi wyprzedzili niemców i przed stu laty wprowadzali w życie tę metodę. Popławski, Piramowicz, Kopczyński, pierwsi u nas rozwinęli teoryję indukcyi, jako zasadę elementarnego wykształcenia, komisyja Edukacyjna na niej oparła nauczanie w szkołach i szkółkach parafialnych, a elementarz Kopczyńskiego uczący podług tej zasady, doraźnego czytania w połączeniu z pisaniem wydany w 1785 r., posłużył za wzór daleko późniejszym, podobnym pracom niemieckim. Tak więc Bekonowska analiza u nas najprzód zaświtała na niwie wychowawczej, lecz dotąd nie przyjęła się; podchwycili ją Niemcy i usiłują przeszczepić na swym gruncie spekulatywno-dedukcyjnym.

Ku wstydowi naszemu nieumieliśmy dotąd skorzystać z własnych nabytków, a co gorzej zapomnieliśmy o nich i zostawili je odłogiem. Czas powetować straty, rozwinąć zasady rzucone przez naszych myślicieli. W ich pracach każde słowo tchnie duchem rodzinnym, prawdą niepożytą i płodną w skutki siłą, której zasadą jest indukcyja.

Książka p. Jeskiego ma właśnie tę wielką zaletę, że rozwija tę zasadę, uczy budować gmach nie od dachu lecz od fundamentów. Autor na każdym kroku opiera się na doświadczeniu, a wszędzie kieruje się jak za gwiazdą, za myślą przewodnią którą jest: czynić z wychowańców godnych członków społeczeństwa.

„Pedagogika" p. Jeskiego dzieli się na cztery główne części: „Wychowanie moralne", „Wychowanie fizyczne" „Zasady nauczania (Dydaktyka)" i „Wykład nauk (Metodyka)."

W pierwszej części autor zastanawia się najprzód nad przedmiotem wychowania: dzieckiem, a następnie nad rodzicami istotnymi działaczami w wychowaniu.

Na wstępie samym, autor mówiąc o wieku jedynym „w którym człowiek jeszcze wszystko może zrobić dla własnej poprawy“ zdaje się przypuszczać w dziecku istnienie wad uprzednich, wrodzonych niejako zarodów złego, potrzebujących odrazu przeciwdziałania, a przynajmniej, nie dość wyraźnie określa wady wcześnie nabyte ze źle skierowanych usposobień dziecięcej natury. Nie przypuszczamy aby autor brał za jedno pewne właściwości usposobień dziecka przeradzające się następnie w skutek nieodpowiedniego traktowania w wady—za wady same przez się, bo wszakże mówiąc np. o wadzie miłości własnej powiada: „takie natury rzadko bez płodnemi są dla dobrego, mogą wprawdzie bez dozoru popaść w straszne zdrożności, ale też są zdolne do wielkich rzeczy. Od naszej więc uwagi, naszej gorliwości w czuwaniu nad niemi zależy ich przyszłość,“ a gdzie indziej mało ceni dzieci z natury pozbawione wybitnych przymiotów, bierne i poddające się łatwo kierunkowi.

W każdym razie rozdział gdzie roztrząsają się wady dziecka, objawiające się w wychowaniu przez nie normalne rozwijanie się pewnych przymiotów, które autor dzieli na trzy grupy: „Miłość własna, Zmysłowość i Lekkomyślność“ odznacza się trafnością rad i spostrzeżeń wziętych z praktyki, dają poznać niezwykłą znajomość psychicznej strony dziecka, która to znajomość zresztą w całej książce widnieje.

Zarzucenie przestarzałego podziału dzieci podług temperamentów, który nic nieuczy i w praktyce stosować się nie daje, liczy się na korzyść autora.

Dalej następuje rozwinięcie zasady moralnego wychowania dziecka, polegające na własnem jego współdziałaniu w tej sprawie. Wychowanie powinno rozumnie pomagać naturze dziecka i kierować nią swobodnie, bez przymusu moralnego i umysłowego, jeśli ma tworzyć istoty samodzielne, rządzące się świadomością dobra i prawdy. Siła i narzucona z góry powaga rodzi opór, znikczemnia, wytwarza fałsz i wprost przeciwny kierunek daje umysłowi gdy ciągniemy go do dobrego gwałtem, zamiast pomagać tylko w tym pochodzie przez ukazywanie rozumowi i sercu celów pięknych i dostarczanie środków do należytego rozwoju. Oto są główne myśli świetnie i przekonywająco przeprowadzone w następujących rozdziałach.

Szeroki zakres przedstawia autor dla udziału rodziców w wychowaniu dziecka od kolebki, aż do wstępu w życie. Jest to naturalny niezem niedający się uszczuplić zakres najświętszego ich obowiązku, szereg powinności najrzeczywistszych. A jednak czytając te kartki pełne prawdy, mimowolnie nastręcza się myśl: ile też znajdzie się rodziców którzy starają się, że już nie powiem zdołają spełnić te zadania, włożone na nich przez naturę pod najsurowszą odpowiedzialnością przed sumieniem? Autor też nie poprzestaje na wystawieniu ideałów wpływu ojca i matki na wychowańca i uzupełniającego się nawzajem ich oddziaływania na moralną jego budowę w pierwotnem wychowaniu i dalszem kształceniu, lecz zwraca się do istniejącego stanu rzeczy, wykazuje rażące błędy w praktyce, podaje zdrowe rady i wskazówki. Najgoręcej występuje przeciw słabości oddziaływania rodziny na dziecię, której źródło upatruje w źle zrozumianej swobodzie wychowania, zalecając przeciw temu niewzruszoną zasadę władzy rodzicielskiej i powagi posłuszeństwa. Słabość wpływu rodziców rzeczywiście przyczynia się do wielu klęsk w wychowaniu; lecz źródłem jej jest raczej nieumiejętność i bezsilność ich w obec swego zadania, niż schlebianie zasadom swobody. Możnaż tu jako reakcyi żądać siły władzy ojcowskiej i powagi, które, aby nie były wprost postrachem tylko, płynąć muszą z głębokiej wiary dziecka w rzeczywistą doskonałość rodziców. Czyliż oni tę wiarę obudzić potrafią? Czy niedbalstwo i słabość charakteru może wzbudzać powagę? Nikt nie zaprzeczy że wysoka wartość moralna ojca, udzielająca swej siły — woli dziecka naturalną drogą czci, miłości i przekonania, jest ideałem pięknym w wychowaniu, że idea rozumnego posłuszeństwa w wychowaniu jest podstawą dla należytego przejęcia się nieugiętą zasadą obowiązku. Lecz jakże mało rodziców kusić się może o tę władzę, aby nie popaść w sztuczność i formalistykę? Czy nie lepiej, nie dążąc już do owej szczytnej władzy nad duszą dziecka, ograniczyć się na poważnem zaufaniu z jego strony, które osiągnąć się daje przez zbliżenie się do dziecka, szczerze zajmowanie się jego dobrem i rozsądek, aby nie tracić tego na możności istotnego wpływu na młody umysł i serce, co się zyskuje na pozornej czci, pod którą kryje się zwykle obłuda.

Pominąwszy ten jeden wzgląd słabiej nieco przedstawiający się, choć w zasadzie piękny, autor trafnie przedstawia obszar obowiązków rodzicielskich. Ten dział książki zdolny obudzić nie jedną myśl, nie jednego może naprowadzić na dobrą drogę, wzbudzić świadomość popełnianych bezwiednie błędów. Nie ma tu frazesów przeznaczonych na zaimponowanie czytelnikom, rzecz przedstawia się prosto, serdecznie, każdy wyraz przemawia prawdą przekonania i jest wyrazem myśli zacnej i rozumnej. Na streszczeniu celów wychowania zakończa się pierwsza część „Pedagogiki“, w porównaniu z innemi może mniej szczegółowo przeprowadzona. Tego w żadnym razie za ujemną stronę dzieła brać nie można, bo zakres ten, nie na kunsztownej teoryi, lecz na gorącej miłości moralnego dobra wspierać się musi, autor wzbudza ją, wykazuje drogi dążące do wcielenia jej i ugruntowywania w duszy dziecka—więc wypełnia swoje zadanie.

d. c. n.

GOSPODARSTWO i Przemysł domowy.

Suszony groszek zielony. Młody zielony groszek wyłuskany z strączków, obgotować nieco z trochą soli, odcedzić i wysuszyć w letnim piecu lub na słońcu i zachować do użytku zawiesiwszy w woreczku w miejscu przewiewnem.

Marynowanie agrestu. Oczyścić z ogonków na pół dojrzały agrest i ponapełniać nim butelki z szerokimi otworami aż do szyjek, następnie obwinąć je w siano, poustawiać w kociołku napełnionym do połowy wodą, aby szyjki od butelek były nad powierzchnią wody, zagotować cokolwiek na wolnym ogniu, a gdy zupełnie wystygną zakorkować, zachować je w piwnicy, w piasku do użytku.

Smarzenie agrestu. Duży zielony niedojrzały agrest wydrążyć i oczyścić z pestek, osolić mocno, niech się tak maceruje w soli przez dwadzieścia cztery godzin, potem zalać go miękką zimną wodą, wymieszać i niech w niej postoi drugie dwadzieścia cztery godzin. W końcu z funta cukru zrobić rzadki syrop i smażyć w nim w powyż przygotowany sposób agrest do właściwej gęstości.

Sok z wiśni. Czarne dojrzałe wiśnie oczyścić z ogonków i utłuc z pestkami w kamiennem naczyniu lub mosiężnym moździerzu, przecisnąć tę masę przez serwetę, a gdy się sok przesączy wsypać doń miałkiego cukru, mieszać dopóki się zupełnie nie rozpuści, przegotować na wolnym ogniu, starannie szumując, a gdy wystygnie, powlewać w butelki, zakorkować, oblać z wierzchu pakiem i w piasku w chłodnej piwnicy do użytku przechować.

Ciastka śmietankowe. Trzy funty mąki, dwa masła, cukru półtrzecia funta, sześć jaj, a dla zapachu kilka kropel olejku bergamutowego, to wszystko zmieszać i zatrzeć ręką na masę, a po zatarciu rozwałkować i w przygotowane foremki kładzie się na spód nie więcej ciasta jak na grubość jednego centymetra. Po w gnieceniu ciasta w foremki, leje się śmietanka która się przygotowuje w ten sposób: Sześć żółtek ubija się z ćwierć funtem cukru i połączywszy tę mieszaninę z pół kwartą śmietanki gotuje na wolnym ogniu ciągle mieszając, dopóki się nieco nie zagotuje, a gdy zupełnie wystygnie, kładzie się do woli na ciasto w formie będące, potem przykrywa się na wierzchu plasterkiem tegoż samego ciasta i wstawia w wolny piec aby się popiekły.

Napój chłodzący. Kremortartari łutów cztery, imbieru sproszkowanego łutów dwa, trzy cytryny, cukru półtora funta, nalać trzema garncami wody, niech przechłodnie. Gdy płyn będzie letnim, dodać dwa łuty suchych drożdży, gdy odrobi i zupełnie wystygnie, przecedzić, rozlać w butelki, zakorkować z wierzchu oblać pakiem, wynieść do piwnicy i po paru dniach jest zdatnym do picia, dając nie

tylko ochładzający, ale obok tego bardzo zdrowy i przyjemny napój w porze letniej.

Zupa z czarnych jagód (Jagodzianka). Kwartę jagód czarnych oczyścić starannie, wypłukać w zimnej zdrojowej wodzie, ugotować, przetrzeć przez durszlak, zmieszać z pół kwartą kwaśnej śmietany, dodać cukru do smaku, nieco mąki aby ją uczynić nieco zawiesistszą, cokolwiek cynamonu, zagotować i wydać na stół, dodawszy do niej grzaneczek.

W podobny sposób robi się i z czarnych wiśni. Obie te zupy można podawać na stół albo gorące lub też poprzednio wystudzone.

Strudel. Funt mąki, jedne jajko, pół łyżki masła nietopionego zatrzeć na stolnicy z ciepłą wodą i wygnieść tak, aby ciasto było wolne, potem wybijać go dopóki nie będzie zupełnie odstawać od ręki i stolnicy. Następnie ugrzać dobrze miseczkę i nakryć nią ciasto na półgodziny, przestrzegając aby zupełnie nie ostygło, rozwałkować cienko i układać na stole przykrytym białym obrusem i posypanym mąką. Następnie ciasto rozciągać palcami umaczanemi w maśle roztopionem i dobrze sklarowanem, a gdy już będzie tak cienkie jak najdelikatniejszy papier, smaruje go się delikatnie piórkiem maczanem w roztopionem maśle, posypuje miałkim cukrem pomięszanym z rozdrobnionym cynamonem, smaruje powidłami, lub jabłkami pokrajanemi w cienkie plasterki oczyszczonemi z łupin i ziarnek ze środka, albo serem przygotowanym jak na pierogi, lub też konfiturami, zwija się to wszystko w wałek, kładzie na blachę wysmarowaną masłem i wstawia w piec na półgodziny, dla upieczenia.

Konserwowanie jaj. Zanurzone jaja w roztczynie składającym się z jednej części kwasu karbolowego i pięciuset części wody, pozostają wewnątrz zupełnie zdrowe.

Przechowywanie mleka. Do jednej kwarty świeżego mleka, dodaje się czterdzieści centygramów dwuwęglanu sody lub potażu, zakorkowywa mocno butelkę i wstawia na cztery godziny w ciepłą rozgrzaną wodę do 90° nie podnosząc jej temperatury. Potem wyjmuje się butelka, a korek oblewa pakiem. W ten sposób można mleko długi czas przechowywać, które nie zmienia swych naturalnych własności.

Ratafija. Półgarnca czystej wody, półtora garnca czarnych wisien, utłuczonych wraz z pestkami w moździerzu kamiennym, trzy kwarty czystego spirytusu, półtora funta cukru miałkiego, jeden łut cynamonu, sześć goździków, ćwierć gałki muszkatołowej sproszkowanej, pół łuta wanilii utłuczonej. To wszystko razem połączyć, wlać do butla, dobrze zatkać i wystawić na miesiąc, na działanie promieni słonecznych. Potem przecedzić przez serwetę i przefiltrować przez bibułę.

ROZMAITOŚCI.

Niebezpieczny rodzaj oszustwa, obliczony na łatwowierność i ciemnotę ludu wiejskiego, wyszedł w ostatnich czasach na jaw jednocześnie prawie w powiecie przemyskim i mościckim (w Galicyi). D. 25 lutego, podczas jarmarku w Mościskach, zbliżył się do Nastki Kupiakowej, która sprzedała parę wołów za 100 złr., nieznajomy żyd, i wydając się za szwagra arendarza z jej wsi, zwabił ją do szynku, gdzie w dłuższej rozmowie prosił ją, by jego imieniem przestrzegła arendarza we wsi Woli, że obiegają fałszywe banknoty po 50 i 100 złr., które poznać można po tem, że nie są ostemplowane, powinien przeto mieć się na ostrożności. Wiadomość ta zaniepokoiła Kupiakową, wydobyła więc otrzymaną ze sprzedaży wołów setkę, ażeby się przekonać, czy jest na niej stempel. Żyd wziął banknot do ręki, z miną znawcy obejrzał go, i zwrócił Kupiakowej, uspokajając ją, że setka jest dobra. Po chwili znikł z szynku, czem zbudził w Kupiakowej podejrzenia; wzięła znów do ręki setkę, ażeby ją obejrzeć i dopiero ujrzała, że zamiast banknotu ma blankiet wekslowy, nie zapisany. Ten sam oszust (wnioskując z opisu poszkodowanej), w podobny zupełnie sposób, wyłudził d. 12 lutego na targu w Przemyślu od włościanina ze Starzawy banknot na 50 złr. Sądy ścigają zuchwałego szalbierza.

* * *

„Nowoje Wremia“ donosi, że ministerstwo oświecenia publicznego mając na uwadze, że kuratorowie okręgów naukowych nader często występują do ministerstwa z wnioskami o koniecznej potrzebie otworzenia w niektórych miastach gimnazyów, szkół realnych lub innych zakładów naukowych, odniosło się podobno do pomienionych kuratorów, żądając nadesłania objaśnień o ile rzeczywiście zachodzi potrzeba otwierania w tych miejscowościach jakichkolwiek szkół. Objaśnienia te mają być do rozpatrzenia zakomunikowane specyalnej komissyi, której opinia ma służyć za podstawę w udzielaniu pozwoleń na otwieranie szkół.

* * *

Nieobojętną będzie zapewne wiadomość dla wielbicieli talentu Julijusza Słowackiego że znana na scenie warszawskiej jego Maryja Sztuart, wedle własnoręcznych notat zbyt wcześnie zgasłego wieszcza, oddaną została przez autora do ówczesnej cenzury w Warszawie w dniu 15 Listopada 1830 roku, jako mająca być drukowaną wraz z innemi poezyjami szerszego pokroju, mianowicie: Jan Bielecki, Hugo, Mnich i Arab. Zamiar ten wszakże nie przyszedł do skutku z powodu nastąpionych zaburzeń krajowych. Słowacki zaś rękopism swój w dniu 1 grudnia tegoż roku odebrał z cenzury.

Nader charakterystycznym w tych pamiętnikach jest ustęp zatytułowany: „*Wydatki i przychody z dzieł moich*“ które tutaj dosłownie przytaczamy.

Za wydrukowanie „*Boga Rodzicy*“ zapłaciłem . . . . złp. 200

Wypłacili mi księgarze: Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues et Kermen, Brzezina i Kenkel razem wszyscy . „ 144.

Straciłem na „Boga rodzicy“ złp. 56

Za wydrukowanie „*Kulika*“ zapłaciłem . . . . „ 263

Wypłacili mi powyżsi księgarze, oraz Bióro Informacyjne Kaczanowskiego . . „ 163

Straciłem na „Kuliku“. . . „ 100

Pokazuje się z tego że znane powszechnie *sic vos non vobis* w całej swej rozciągłości znalazło zastosowanie względem genijalnego wieszcza. Wiadomo każdemu iż Słowacki wszystkie swe dzieła drukował własnym kosztem, a dochód z ich rozprzedaży niepokrywał nawet kosztów druku, dopiero po jego śmierci wydawcy nie tylko w Warszawie, ale Lwowie Lipsku i innych wcale nie złe na jego utworach robią interesa.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 (14) Іюля 1875 г. - W drukarni E. Skiwskiego,- Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.